

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F
PRIX 7 F. B.

8 września 1968
septembre

Rok wydania XI Nr 37 (569)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



FP2373

NASZA OKŁADKA

Ci czterej chłopcy z Francji, wielcy miłośnicy piłki nożnej, spędzili wakacje w Polsce. Reportaże o koloniach w Kraju zamieszczamy na str. 6, 7 i 8.

Ces quatre garçons de France, grands amateurs de football ont passé cette année leurs vacances en Pologne.

▲ La fête de la Moisson est certainement une des plus importantes fêtes de Pologne. Après avoir eu lieu dans toutes les villes, elle se termine par une cérémonie monstre à Varsovie à laquelle participent les représentants de tous les paysans du pays.

▲ L'année scolaire prend son départ en Pologne de 1 septembre. Quelques semaines avant sont organisées des grandes ventes en plein air de matériels scolaires.

▲ Bobbi Ann Woronko de Edwardsville a été proclamée la plus jolie Polonaise des USA pour 1968. Elle reçoit les vœux sincères de Christine

FOTOKRONIKA CAF-KEYSTONE

Kormañska, Miss Polonia américaine de l'année dernière.

▲ L'armée américaine n'arrive toujours pas à combattre efficacement les patriotes vietnamiens. C'est peut-être pour cela qu'elle s'en prend aux églises...

▲ Pour la première fois dans l'histoire des Jeux Olympiques, c'est une femme qui allumera le flambeau. Elle s'appelle Enriqueta Basilio et

est championne de sprint du Mexique.

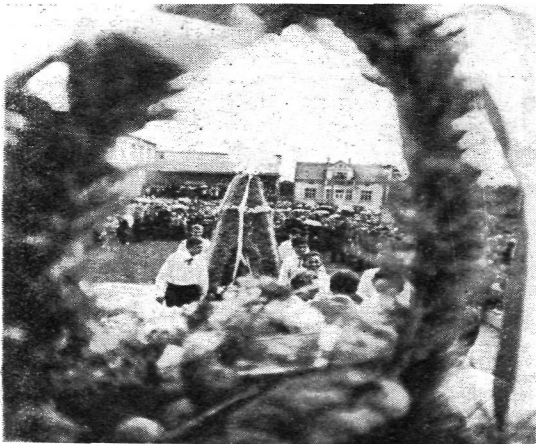
▲ Au cours de leur tournée aux USA ces deux étoiles du ballet de Moscou ont dansé devant les dauphins si célèbres du „Marineland” de Los Angeles.

▲ Ce jeune champion du go-cart Stuart Lockyear sera peut-être un jour champion automobile d'Angleterre.

▲ Ces deux pompiers londoniens ont été pris pour des Marsiens à cause de leur accoutrement.

▲ Il est difficile de dire si la mode d'aujourd'hui a pour but d'habiller ou de rendre original à tout prix...

▲ Il y a toujours et partout un coin où le soleil brille. Il faut savoir en profiter.



DOŻYNKI SA W KRAJU WIELKIM DOROCZNYM ŚWIĘTEM, ale zmienił się ich charakter: odbywają się w powiatach i województwach a punktem kulminacyjnym są wielkie doroczne obchody świąteczne w Warszawie na Stadionie Dziesięciolecia. Zanim otrzymamy materiały z tego święta, zamieszczamy zdjęcie z obchodu dożynkowego w Osieku, pow. Jasło, gdzie występowały delegacje z wielu okolicznych wsi



ROK SZKOLNY ROZPOCZĘTY! To ogromne przedsięwzięcie, angażujące całą Polskę. Drukarnie przygotowują miliony egzemplarzy nowych nakładów stale unowocześnianych podręczników szkolnych, przemysł odzieżowy szykuje różne modele ubrań szkolnych, fartuszków, koszulek i spodenek gimnastycznych; obuwiczy zaś — miliony par miękkich pantofli, zwanych popularnie „kapioszkami”. Do tradycji warszawskich należy wielki kiermasz szkolny na Placu Defilad przed Pałacem Kultury, gdzie w kioskach można kupić wszystko: od ołówka do mundurka



NOWA MISS POLONIA — USA. Ta uroczą dziewczyną to miss na rok 1968 — Bobbi Ann Woronko, mieszkanka Edwardsville. Gratulacje składa jej zszlorzona miss Polonii amerykańskiej — Christine Kormañska z Pearl River. Nie ma wątpliwości, że kolejne sukcesy obu pięknych Polek były w pełni zasłużone. Serdecznie gratulujemy!



„AMERYKANIE PRZEKONALI SIĘ, ŻE ICH ARMIA JEST NIEMIARYGODNIE NIEZDARNA” — taką opinię wydał po powrocie z Wietnamu wybitny francuski teoretyk wojskowy, gen. André Baufre. Niszczenie kościołów przez lotnictwo amerykańskie w DRW to jeszcze jeden haniebny wyczyn



PO RAZ PIERWSZY — KOBIETA zapali znicz olimpijski na Igrzyskach w Meksyku. Jest nią rekordzistka biegów płaskich na 400 m i przez płotki na 80 m — Maria Enriqueta Basilio. Na zdjęciu widzimy ją w jej mieszkaniu w miasteczku sportowym w Ciudad Mexico. Tego rodzaju zaszczyt przypadł kobiecie po raz pierwszy w wielowiekowej historii Olimpiad



BALET DLA DELFINA! I to w wykonaniu pierwszej wielkości gwiazd: do zdjęcia pozują gwiazdy moskiewskiego Teatru Wielkiego: Ludmiła Własowa i Stanisław Własow. Oboje znajdują się w USA na tournée i przy okazji odwiedzili zespół akwariów „Marineland” w Los Angeles, gdzie honory domu pełniły młode wieloryby



MAŁY WIELKI CHAMPION wyścigów mini-gokartów, którego wraz z jego wyścigową maszyną bez trudu podnoszą w triumfie dwaj angielscy policjanci, to Stuart Lockyear — zwycięzca wyścigu, który odbył się na mini-torze, na jednej z plaż angielskich. Kto wie, może ze Stuarta wyrośnie wyścigowiec?



ANI MARSJANIE, ANI DUCHY, ANI NAWET DWAJ LEGENDARNI YETI. To po prostu dwóch londyńskich strażaków, którzy brali udział w pozorowanej akcji gaszenia benzyny na dachu jednego z domów w stolicy Wielkiej Brytanii. A że w takich wypadkach straż pożarna używa piany o wielkiej zdolności tłumienia ognia a także przyczepiania się do wszystkiego na co padnie — skutek był taki, jaki widzimy na zdjęciu



ORYGINALNOŚĆ ZA WSZELKĄ CENĘ — rzecz ludzka. Szczególnie w damskiej modzie. Tylko jakie właściwie ma mieć praktyczne zastosowanie suknia z płytek pancernych, projektu Paco Rabanne?



ZAWSZE GDZIES ŚWIECI SŁOŃCE. Taką dewizą możemy pocieszać się w deszczowe dni, których tegoroczne lato, obok wielkich upałów, nie szczędziło. Na chłodne dni lata, by przynajmniej przypomnieć słońce, zamieszczamy to zdjęcie

Raport po 25 latach

POLSKI KAPRAL I BELGIJSKI MAJOR we FRANCUSKIEJ RESISTANCE W WALCE O LONDYN

Pragnę złożyć Czytelnikom raport o sprawach, które zaczęły rozgrywać się przed czterdziestu laty, osiągnęły swój punkt szczytowy w najciemniejszych dniach wojny i okupacji i, choć opowieść o nich jest opowieścią o śmierci i zagładzie, jest także relacją o bohaterstwie, niezłomnej woli walki i odniesionym dzięki nim zwycięstwie.

Choć mówi ona o losach jednego człowieka, poprzez nią zapoznajemy się z losami wielu. Jest historią o polskim żołnierzu. Od wielu innych różni ją zakończenie. Zakończenie szczęśliwe.

GDYBY MOGLI PRZEWIDZIEĆ...

Jest rok 1928. Cztery lata temu partia Hitlera była u swego pierwszego szczytu rozwoju. Wołała, że trzeba skończyć z opowiadaniem o winie Niemców za wywołanie pierwszej wojny światowej, że to nie Niemcy, lecz alianci stosowali w wojnie zbrodnicze metody, że trzeba przywrócić Niemcom „godność”, „dyscyplinę narodową” i — uzbrojenie. Lecz partia Hitlera przeliczyła się z siłami, próbowała sięgnąć po władzę w drodze puczu. Pucz został stłumiony, bo przecież Druga Rzesza — Republika Weimarska — była „pokojowa”, „demokratyczna”, walczyła tylko „o należne Niemcom miejsce w europejskiej rodzinie narodów”.

Tyle tylko, że tworzyła masowe „Czarne Reichswehry”, „Stahlhelmy”, „Grenzschutz”, „Freikorpsy”, zbrojne „stowarzyszenie gimnastyczne” — ukrytą, zbrojną armię odwetu. Ze łada chwila minister Rzeszy **Treviranus** zażąda dla Niemiec zwrotu „korytara” — polskiego Pomorza Gdańskiego — oczywiście „pokojowo” i „bez użycia siły”. Ze nasilało się przesładowanie i wypędzanie rzesz Polaków z ziem rdzennie polskich, które po pierwszej wojnie pozostały nadal w niemieckim zaborze. Jedną z form była — pozornie humanitarna — możliwość wyboru obywatelstwa polskiego — opcja. W drugiej akcji optowania wybrała polskie obywatelstwo pewna skromna rodzina, z małym, urodzonym w Niemczech synem.

W roku 1928 optanci musieli przemieścić się do Polski. Rodzinie o której tu opowiadamy, dano 48 godzin na przeniesienie się do Kraju. Z majątku praktycznie nic nie wolno było zabrać, jechali tak jak stali, z węzłkami osobistych rzeczy. Rodzina nosiła nazwisko **Maciejewskich**. Syn miał na imię **Feliks**.

Gdyby autorzy metod wysiedlania optantów, metod niewiele tylko udoskonalonych w jedenaście lat później i stosowanych na ziemiach Polski wobec milionów Polaków, mogli przewidzieć skutki swoich czynów...

CIEŻKIE LATA

Maciejewscy osiedlili się w Poznaniu, na Wildze. Była to wówczas dzielnica robotnicza, proletariacka. Na 10dzkich Bałutach rośli bałucy chłopcy, na warszawskiej Woli chłopcy z Woli, na Wildze — wildecki chłopcy, na krakowskiej Krowodrzy i Zwierzyniecu krowodercy i zwierzyniecscy. Każde z tych określeń to symbol zaradności, zadziorności, plebejskiego humoru i godności osobistej. Ludzi twardych, porwanych, w potrzebie umiejących bronić swego honoru pięścią.

Jako wildecki chłopcy rósł Feliks Maciejewski. Ze w domu się nie przelewało, dowodzić nie trzeba. W roku 1929 wybuch światowy kryzys ekonomiczny. Ciężko przetrwała się przez Polskę i dławi ją długie lata. Jak bronić się mogą przed nim Maciejewscy, co przeciwstawić? Spoistość dobrej, kochającej się rodziny i własną chęć do pracy. Ale chcących pracować i pracy nie znajdujących są wtedy w Polsce miliony.

W MUNDURZE

Jest rok 1935. Jak może Feliks Maciejewski dopomóc swej rodzinie? Odciążyć ją. Znaleźć własne podstawy egzystencji. Dawalo je, i to pewne, wojsko. W wielkopolskim miasteczku Sremie mieściła się Szkoła Podoficerska dla Małoletnich. Dobra to była szkoła choć twarda. Dała przedwrześniowemu Wojsku Polskiemu setki pierwszorzędnych podoficerów. Tych, którzy sprawdzili się później w kampanii wrześniowej nieraz o ileż lepiej niż ci, którzy mówili o sobie, że niosą Polskę na swych barkach.

W roku 1938 Feliks Maciejewski kończy Szkołę i w stopniu kaprala przydzielony zostaje do 71 pułku piechoty w Zambrowie. Z owych lat zachowała się fotografia z wzruszającą dedykacją:

„W dowód miłości kochanym Rodzicom na pamiątkę kochający syn Feliks”.

Jest rok 1939. Druga Rzesza od sześciu już lat stała się Trzecią. Padły ofiarą: Nadrenia, Saara, Austria, Kłaj-



Kapral Feliks Maciejewski

peda, Sudety, w końcu cała Czechosłowacja. Wszystko — „pokojowo”. Wszystko — dla wyrównania „niesprawiedliwości wobec Niemiec”. Już budzą grozę słowa: SS, gestapo, obóz koncentracyjny. I wyznaczona już jest następna ofiara: Polska.

POŻAR ŚWIATA

Przydział mobilizacyjny kaprala Feliksa Maciejewskiego brzmi: kompania specjalna broni maszynowej „Bratek” 71 pułku piechoty.

Pierwszego września o świcie padł cios, który miał wymazać z map, słowników i podręczników imię Polski na zawsze. W niespełna dwa tygodnie pancerne kolumny znaczone czarnym krzyżem osiągnęły Bug i przekroczyły go. Na tyłach frontu bronili się Hel, bronili się Warszawa i Modlin. Opor był zaskakujący — dziewięciu miesięcy trzeba będzie Wehrmachtowi, by wyrównać straty i przygotować się do wojny na zachodzie. Cios w Polskę był druzgocący, lecz bronili się przed nim cały naród. Zambrów — powiatowe, garnizonowe miasteczko na wschodzie Polski, trzykrotnie prze-

chodził z rąk do rąk. Tu Feliks Maciejewski dostaje się do niewoli. I tu jest świadkiem tego, co Wehrmacht nazywa rycerskimi tradycjami, rycerską walką i szacunkiem dla praw wojny.

Na wielki dziedziniec koszarowy w Zambrowie spędzono tysiące polskich jeńców. Kazano im klęczeć, kazano leżeć, kazano siedzieć. Kto wstanie — kula w łeb.

Do bezcelowej śmierci żołnierzom polskim, choć rozbrojonym i otoczonym strażami, nie było spieszą. Pierwsze przykazanie żołnierza w niewoli: zachować życie dla nowej walki. Wypełniali je ściśle. Ale, choć bezbroni, budzili w przeciwniku lęk. Więc chciano im życie odebrać. Więc posużono się — prowokacją.

Gdy zapadła noc, w tłum jeńców żołnierze niemieccy wpędzili zienacka dwa spłoszone konie, tratujące kopytami leżących. Jeńcy poderwali się z miejsc. A wtedy zagrały długimi seriami ustawione zawczasu karabiny maszynowe. Padły setki zabitych. Ta noc zbrodni przeszła do historii drugiej wojny światowej pod nazwą **KRWAWEJ NOCY ZAMBROWSKIEJ**.

TULACZKA I PONIEWIERKA

Z pół walki całej Polski spędzono jeńców do **Goldapi**. Tu mieścił się zię słały **Stalag I-a**. Nieliczni „szczęśliwi” znaleźli miejsce w zimnych drewnianych barakach. Większość — na przeczach pod namiotami. A zima 1939/40 była jedną z „zim stulecia”, wielu pamięta jej koszarne mrozy, które nastąpiły po upalnym lecie i jesieni 1939 roku.

W **Goldapi** przebywała reszka pozostałych przy życiu obrońców **Westerplatte** ze swym dowódcą **majorem Sucharskim**; tu przypędzono także jeńców z Zambrowa. Wśród nich Feliksa Maciejewskiego. Mróz, głód, złe warunki miały złamać morale Polaków. Czy złamały? Na odwrocie pamiątkowego zdjęcia, które wykonał grupie kolegów obozowych fotograf O. Jurditki, **Goldap, Mühlenstrasse 34**, znajdujemy takie dedykacje:

„Na wieczną pamięć z wspólnej niedoli i niewoli wpisuje się koleżka J. Bieniek”.

„Życie jest walką, więc zwycięż. Na pamiątkę niedoli — **Zotkiewicz**”.

Więc zwycięż! Nie trzeba tego było powtarzać kapralowi Maciejewskiemu. Uciekł z obozu w **Goldapi** przy pierwszej okazji. De Gaulle jako nieznanemu kapitan także uciekał z tych okolic z niewoli niemieckiej — w pierwszej wojnie. Niedługo cieszył się wolnością Maciejewski — został złapany, przewieziony do **Stalagu I-a** z powrotem, lecz jako już „podejrzany” przetrzucano go dalej. Kolejny etap — **Stalag w Dorsten**. Kolejna próba ucieczki,

już masowej: zza drutów wy dostało się za jednym zamachem 52 Polaków! Było to już po upadku Francji, kierunek ucieczki narzucał się więc sam przez się: poprzez „**zone libre**” dalej na zachód, do polskiej armii. Ale pościg za uciekinierami był, niestety, skuteczny. Do granicy międzystrzofowej dotarło ich już tylko trzech. I tu nastąpiła wpadka: pan Maciejewski i dwóch jego kolegów zostało schwytych.

SOLIDARNOŚĆ ANTYFASZYSTÓW

Polacy uciekający z **Dorsten** włożyli w przygotowanie ucieczki maksimum pomysłów i brawury. Ale w wykonaniu nie byli zdani wyłącznie na własne siły. Otrzymała pomoc... od Niemców. Niemcy przeciw Niemcom? Tak! z jęncami polskimi skontaktowali się niemieccy antyfaszyci. Feliksa Maciejewskiego transportowały przez Francję i przechowywały na postojach dwie niemieckie dziewczyny. Związały, utrzymując kontakt z panem Maciejewskim, ale... z dużą dyskrecją. W Polsce na pewno przywitano by je sećcznie. Ale tam, gdzie obecnie mieszkają, wielu jest byłych hitlerowców w aparacie władzy, działa partia neohitlerowska...

Feliks Maciejewski przetransportowany został do Paryża. Tu, w czasie noclegu, próbuje ucieczki po raz trzeci, znów zostaje schwytywany. Kolejny etap: obóz przesłuchowy w **Krefeld** i na koniec — lotnisko w **Chièvres**. A tutaj...

Ale przeniesmy się na chwilę o wiele lat w przyszłość.

Jest rok 1968. Dziennikarz francuski, pan **Edouard Valjac** pisze artykuł. Oto co tam czytamy:

„Pułkownik **BASTIN**, bohater ucieczki z niewoli podczas wojny 1914—1918, stał się bohaterem Ruchu Oporu już w roku 1940. Ze swej kwatery przy **Avenue Louise** w **Brukseli** kierował siecią podziemną, walczącą z Niemcami w północnej Francji. Jego bliskim współpracownikiem stał się major **BLARI** — takie nosił nazwisko w podziemiu, kolega pułkownika w przedwojennych jednostkach kawalerii i sportowy rywal na konkursach hipicznych. I oto jaką misję zlecił szef sieci swemu przyjacielowi:

— Znasz dobrze lotnisko w **Chièvres**, ponieważ masz w tamtej okolicy swój letni dom. Trzeba zbadać, czy uda się przeprowadzić na lotnisku akcję sabotażową. Niemcy mają tam znaczną ilość samolotów najnowszych modeli. To jeden z ważniejszych punktów startu do nalotów na Anglię. Czy widzisz możliwość podjęcia akcji?

— Tak, odpowiedział **Blari**, ale pod warunkiem dokładnego rozpoznania na miejscu. Na lotnisku tym pracują polscy jeńcy wojenni. Zbadam ich nastroje i podejmę z nimi kontakt. W tych okolicznościach mam nadzieję, że uda się zrobić dobrą robotę. Stawiam tylko jeden warunek: jeśli dojdzie do walki, będę walczył w mundurze.

— Ależ to szaleństwo! Zostaniesz natychmiast złapany! Tego rodzaju akcje wykonuje się z najwyższą konspiracją.

— Zgoda na konspirację, ale gdy dochodzi do czynu zbrojnego, chce walczyć w mundurze. Jestem przecież żołnierzem i mam do tego prawo. Akcje sabotażowe wykonywane przez osoby cywilne pociągają za sobą nieobliczalne represje wobec niewinnych mieszkańców, branie i rozstrzelanie zakładników. Nie chcę, aby ktokolwiek cierpiał wskutek naszych działań wojennych.

— Zrobisz jak uważasz — zdecydował pułkownik **BASTIN**.

Linie losu majora **Blari** i kaprala Maciejewskiego zaczęły się do siebie zbliżać, aż do nieuchronnego przecięcia. Zaś los Maciejewskiego przysto-

„Życie jest walką, więc zwycięż” napisano na odwrocie obozowego zdjęcia



POLSKI KAPRAL i BELGIJSKI MAJOR we FRANCUSKIEJ RESISTANCE W WALCE o LONDYN

Dokończenie ze str. 3

wali własnymi rękami sami Niemcy. Bowiem wysiedlając jego rodzinę w tych warunkach, jakie opisałem, nieświadomie wytyczyli mu drogę do zawodu wojskowego... A na koniec, wbrew postanowieniom Konwencji Genewskiej, którą Rzesza podpisała, zmusili kilkudziesięciuosobową grupę polskich jeńców wojennych do pracy na wojskowym lotnisku. A jednym z jeńców był Feliks Maciejewski.

Polacy byli już doskonale zorganizowani. Mieli własną sieć konspiracyjną, w której ze względów bezpieczeństwa używali pseudonimów. Kapral Maciejewski, dla swego niezmiernie dobrego humoru znany był tam jako „Clown”. Kontakty jenieckiej konspiracji sięgały do innych obozów, nawet do dalekiej Norwegii, gdzie przebywali w niemieckiej niewoli koledzy pana Maciejewskiego z Zambrowa. Czekano tylko okazji do działania. I oto okazja nadarzyła się.

Major Blari nawiązał kontakt z Polakami w przeciągu 15 dni. Na początku nie obyło się bez nieufności — w końcu szło o głowę, a prowokacja zambrowska i inne, podejmowane przez Wehrmacht i SS (obie te formacje



W niewoli, ale nadal w walce

strzegły lotniska jako wyjątkowo ważnego obiektu wobec Polaków, nakazywały ostrożność. Może nieoczekiwanie dla majora jeden szczegół przełamał lody. Mianowicie Blari zdradził się w rozmowie, iż jest Belgiem. A związki polsko-belgijskie były liczne jeszcze od roku 1831; bohaterka postać króla Alberta I była zawsze w Polsce popularna, pamięć niezłomnego oporu

Belgów podczas I wojny światowej przetrwała.

Juliusz GARZTECKI

Cette histoire dramatique d'un soldat polonais est également celle de ceux qui par milliers à travers toute l'Europe occupée participèrent dans l'ombre à la victoire contre l'Allemagne hitlérienne. Feliks Maciejewski connaissait bien les Allemands, il avait passé son enfance parmi eux avant de se retrouver dans un des quartiers ouvriers de Poznań. En 1935 il devint élève d'une école d'officier à Srem près de la capitale de la Grande-Pologne. Au moment de l'éclatement de la guerre provoquée par Hitler, il prit part aux durs combats de la compagnie de septembre. Il fut fait prisonnier et maltraité par les vainqueurs pleins de morgue. Il s'évada. Il fut repris. Il s'évada une fois encore et se dirigea vers la France. Il fut repris une fois de plus. Cette fois-ci, bien que sous-officier, il fut envoyé en tant que travailleur de force sur un aérodrome, celui de Chièvres, occupé par les forces d'occupation. Là, Feliks Maciejewski, qui se considérait toujours comme un soldat d'un pays qui n'avait pas capitulé, organisa un noyau de résistants. Il fut contacté par un groupe de résistants belges qui avaient décidé de procéder à des sabotages parmi les appareils de la Luftwaffe. Le chef du réseau belge était le commandant „Blari”. La semaine prochaine, nous vous parlerons des exploits du caporal polonais et du commandant belge.

W NASTĘPNYM
NUMERZE:
O AKCJACH
PRZECIW LUFTWAFFE
W CHIÈVRES

Czy Jędrzej Śniadecki był w Paryżu?

Dwóch braci Śniadeckich Jan i Jędrzej zasłynęło w nauce polskiej i światowej na przełomie XVIII/XIX w. Jan Śniadecki (1756-1830) był matematykiem, astronomem, filozofem i autorem wielu dzieł w dziedzinie matematyczno-przyrodniczej. Jędrzej (1768-1839), lekarz, wybitny chemik, pedagog i publicysta, był od roku 1797 profesorem Akademii Wileńskiej. Obaj pochodzili z wielkopolskiego Żnina.

Kiedy Napoleon w 1812 r. zatrzymał się w Wilnie, przedstawiono mu Jędrzeja Śniadeckiego jako wybitnego chemika i pedagoga.

— Quelle chimie enseigne-t-on ici? (Jakiej chemii tu uczycie?) — zapytał ucznogo cesarz.

— Sire, la chimie qu'on enseigne à Paris! (Wasza Cesarska Mość, takiej samej, jakiej naucza się w Paryżu!) — brzmiała odpowiedź.

Zapewnienie Śniadeckiego, że uczy takiej samej chemii jak w Paryżu, wówczas miesiąc przedującym w tej dziedzinie, nasunęło autorom prac o Śniadeckim przypuszczenie, że w swej karierze naukowej i literackiej podróży przebywał on również w Paryżu.

Prostuję to w ostatnim numerze krajowych „Problemów” — czasopiśmie popularyzującego wiedzę, docent Kazimierz Sarnecki. „Śniadeckiemu w okresie jego naukowych wojaży po Europie nie udało się odwiedzić Paryża — pisze doc. Sarnecki — a to z przyczyny zawieruchy wojennej”. Po raz pierwszy próbował on dotrzeć do stolicy Francji po skończeniu studiów w Pawii, kiedy przez Genewę i Niceę przyjechał do Marsylii. Po raz drugi usiłował znaleźć się w Paryżu po dwuletnim pobycie w Edynburgu, kiedy opuszczał Anglię. Ale i tym razem bez powodzenia. „Nie będąc w Paryżu — stwierdza łódzki naukowiec — był Śniadecki rzecznikiem poglądów chemicznych tamże wygłaszanych”.

NOWE KSIĄŻKI

Pamiętniki najpiękniejszej Francuzki XVI w.

Po raz pierwszy ukazały się po polsku „Pamiętniki” Marguerite de Valois (1552-1605), ostatniej z roku Walezjuszw, zwanej „królową Margot”. Była ona córką króla Francji, Henryka II, siostrą trzech kolejnych jego następców — Franciszka II, Karola IX i Henryka III, oraz żoną piątego monarchy francuskiego Henryka IV Bourbona. Podobno Margot była tak piękna, że ani jedna z tych, które żyła, żyła lub żyć będą, a uchodziła za piękną, nie mogłyby się zwać jak brzydulami”. Tak przynajmniej twierdził pan Pierre de Bourdelle, znany powszechnie pod nazwiskiem Brantôme, autor „Zywotów pan swawolnych” i „Zywotów dam znakomitych”, wieny jednak, że podkochiwał się on w królowej Margot i stał wielu znających swą piękność nie podzielało jego zdania. Brantôme powołuje się m. in. na świadectwo wystawione Margot przed jednego z Polaków, który przybył do Francji z delegacją zapraszającą Henryka Walezjusza na tron Polski po zmarłym Zygmuncie Augustu. Było to 19 sierpnia 1573. „Po zobaczeniu tak niezwykłej piękności — miał powiedzieć ów Polak — chciałbym być już niczego nie oglądać. Poszedłbym chętnie za przykładem niektórych pielgrzymów tureckich, którzy tak są uszczęśliwieni, przejeżdżają i wzruszeni widokiem Mekki, że po obejrzaniu tej wielkiej, wspaniałej świętości nie chcą już nic więcej widzieć i wypalają sobie oczy rozżarzonym szpizem...” Trudno ustalić ile w tym prawdy, ale faktem jest, że polscy wysłannicy zdumieni byli biegłością wymowy królowej w języku łacińskim.

Zyciorys Marguerite de Valois skreślił ciekawie we wstępie do jej „Pamiętników” Jerzy Łojek. Same pamiętniki są tylko częścią spuścizny pisarskiej, jeżeli nie najpiękniejszej, to w każdym razie najstarszej kobiety Francji w XVI w.

*) Marguerite de Valois: Pamiętniki. Tłumaczenie na język polski Irenei Dawydz. Wstęp Jerzy Łojek. Okładka Władysław Brycheżyński. Czytelnik 1968. Stron 172.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako długoletni prenumeratorka Tygodnika we Francji, a obecnie w Polsce, skreśliłam te kilka słów podziękowania za nadsyłane mi gazety i życzenia rozwoju Waszego Tygodnika dla dobra emigracji polskiej na obczyźnie. Dziękuję redaktorowi za informację, których udział mi przy wyjeździe do Polski a które były bardzo obiektywne. Dziękuję Władzom Konsularnym, a zwłaszcza panu konsulowi Pichli w Paryżu za dokładne i bardzo ludzkie załatwienie formalności paszportowych jak i innych dotyczących przedsięwzięcia, które bez żadnych trudności umożliwiły mi przyjazd i osiedlenie się najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie, z czego jestem bardzo zadowolona. Dziękuję wszystkim kolegom z Kola Argenteuil Rezerwistów i b. Wojskowych, a zwłaszcza kol. Hałce, obecnemu prezesowi Kola, za serdeczne i wzruszające pozegnanie i za miłą niespodziankę. Dziękuję również kolegom z Kola b. Wojskowych okręgu Paryż za miłe pozegnanie i pamiętkę, którą wręczył mi kol. Myszkowski. Dziękuję wszystkim, którzy ze mną współpracowali i wyrazili swą sympatię i niekłamana życzliwość. Wszystkim tym, którzy chcieliby nas odwiedzić w Polsce — do widzenia. Redakcji Tygodnika jeszcze raz życzę owocnej pracy.

F. Szczepankowski
Były prezes Kola Argenteuil
Rezerwistów i b. Wojskowych

POD ROZWAGĘ RODZICOM

KILKA tysięcy dzieci i młodzieży polonijnej odwiedziło tego lata Polskę. Około tysiąca bawiło na koloniach krajowych, a znacznie więcej z rodzicami odwiedziło Kraj prywatnie. Korzyści z tych wyjazdów są różnorakie i znaczne. Chodzi teraz o to, by ich nie zmarnować. Myślimy przede wszystkim o korzyściach językowych. Młodzież przez kontakt z językiem polskim znacznie poprawiła swą polszczyznę. Należy więc teraz przypilnować, aby to nie zostało zaprzepaszczone, a przeciwnie — o ile możliwości — utrwalone, a nawet stało się dalszym krokiem do pełniejszego opanowania mowy ojców i dziadków.

Znajomość jeszcze jednego języka więcej nie będzie w przyszłości rzeczą obojętną dla osobistych kwalifikacji młodego człowieka w jego życiowej karierze, nie mówiąc już o tym, że uczuciowe więzy łączące go z ojczyzną rodziców czy dalszych przodków są przez to na pewno mocniejsze. A ten właśnie język jest dla naszych dzieci łatwiejszy do opanowania niż inne, przez to, że chłopiec czy dziewczynka są w nim obsłużane od wczesnej młodości, że częściej go słyszały niż inne języki, oczywiście poza tym, którym się na co dzień muszą posługiwać w szkole, rozmawiać ze swymi rówieśnikami i z otoczeniem.

Nie wolno zapominać, że najłatwiej uczyć się języka za młodu. Umysł młodego człowieka nie jest jeszcze przeciążony nawałem wiadomości, spraw i kłopotów, przyjmuje i utrwala nowe wyrazy i reguły językowe łatwiej niż umysł człowieka dojrzałego lub starszego. „Czego się Jaś nie nauczył za młodu, tego się Jan nie nauczy na starość” — mówi dawne przysłowie. Obowiązek dopilnowania, by tej okazji, jaką daje młodość, nie zmarnować, ciąży na rodzicach, opiekunach, wychowawcach, a nawet na starszym rodzeństwie. Młodzież rozpoczynająca nowy rok szkolny ma wiele obowiązków i raczej niechętnie przyjmuje jeszcze dodatkowe obciążenie, a każda nauka jest przecież pracą. Chodzi więc o to, by jej w tym dodatkowym obowiązku pomóc, przede wszystkim

zaś, żeby zrobić z niego rzecz przyjemną, a nie jeszcze jeden ciężar.

Nie każdego stać oczywiście na systematyczne, dodatkowe lekcje języka polskiego dla swych dzieci u kwalifikowanego wysoko nauczyciela, ale każdego stać na to, aby dziecko raz na dzień przypilnować, by wzięło do ręki na pół godziny polską książkę lub gazetę. Każdego stać na to, aby wszędzie, gdzie to tylko możliwe, o pewnej porze — np. przy kolacji — mówić z dziećmi po polsku, poprawiać ich wymowę, zaznajamiać z wyrazami, których jeszcze nie znają, z nowymi dla nich formami gramatycznymi czy układem zdań. Ważne jest, aby dziecko nie zapominało polskich piosenek, by możliwie systematycznie korespondowało w języku polskim ze swymi krewnymi, znajomymi czy kolegami; korzystało, gdy nadarzy się ku temu okazja, z imprez, na których może usłyszeć język polski. Oczywiście wszędzie tam, gdzie jest okazja do systematycznej nauki i korzystania z lekcji, chociażby raz na tydzień, należy to dziecku ułatwić.

Są ludzie, którzy bez większego zastanowienia lub znajomości rzeczy twierdzą, że język polski jest językiem mało ważnym, czy mało przydatnym w stosunkach międzynarodowych. To nie prawda. Przede wszystkim nie ma języków ważnych i nieważnych. Wszystkie są ważne, choć niektóre mają większy zasięg i więcej ludzi się nimi posługuje. Natomiast każdy język jest przydatny. I w dzisiejszych czasach bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości. Bierze się to stąd, że mimo piętujących się trudności natury politycznej, stosunki międzynarodowe stają się coraz bardziej rozległe, a wszelkiego rodzaju wymiana obejmuje coraz szersze kręgi ludzi. Potrzebna jest przy tym znajomość języków, jeżeli korzyści z tej wymiany mają być pełne.

Jednym z najbardziej konkretnych mierników wzrostu poziomu życia współczesnego nam świata i zarazem zbliżenia między narodami jest turystyka, podróżowanie, poznawanie innych krajów i innych narodów, poznawanie ich życia, kultury, historii i zwyczajów. O ileż większe korzyści płyną z podróży i poznawania nowych części naszego globu czy kontynentu, jeżeli możemy się z łatwością porozumieć, zwłaszcza gdy przyjeżdżamy do Kraju, który jest nam bliższy niż inne, gdy jesteśmy z nim związani w jakimś stopniu uczuciowo, bo jest on czy był ojczyzną naszych przodków.

LE PLUS ancien sceau de Varsovie qui date de 1422 et figure sur le traité de paix entre le roi Władysław Jagiełło et l'Ordre des Chevaliers teutoniques représente une Sirène avec une poitrine d'homme, et d'oiseau flanquée d'une aile. Elle a d'autre part des sabots, une queue de lion et tiend une épée, un bouclier et une couronne. Ce n'est qu'au XVIIe siècle que la Sirène varsoviennne s'est métamorphosée en femme.

Après de longues discussions la municipalité et personnellement le maire de Varsovie Stefan Starzyński confiait à l'artiste sculpteur Ludwika Nitsch l'étude d'un projet et sa réalisation. Elle revait d'une immense statue au milieu de la Vistule, baignée par le fleuve et portant à travers le monde les salutations de la capitale polonaise. La municipalité demanda d'ériger une statue plus modeste, placée au bord de la Vistule.

L'artiste choisit comme modèle Krystyna Kraheńska, élève de la faculté d'ethnographie de l'Université de Varsovie. Elle avait 22 ans, grande, bien bâtie, les cheveux d'un blond absolu, les yeux bleus, poète, chanteuse et grande patriote, issue d'une bonne famille polonaise. D'une beauté classique, elle symbolisait la force de la ville indomptable.

Les travaux commencèrent et bientôt Varsovie devait assister à une grande cérémonie d'inauguration du monument. Hélas la guerre éclata. Les nazis envahirent la Pologne et Varsovie.

Et Krystyna? Pendant toute l'occupation elle a milité dans la résistance. Elle a aussi composé plusieurs chansons pour le maquis. Le 1 août 1944 Krystyna Kraheńska, avec ses compagnons de l'Armée de l'Intérieur, prenait part à l'insurrection de Varsovie, comme infirmière. Elle mourut le 2 août à la suite de graves blessures. Elle n'a pas eu la chance de vivre ce lendemain radieux auquel elle a tant revê.



Syrena przetrwała na swoim posterunku całą wojnę i mimo że była już podminowana — ecalała z pożogi



Krystyna Kraheńska

NAJDAWNIEJSZA pieczęć Warszawy odbita w 1422 roku na dokumencie traktatu pokojowego króla Władysława Jagiełły z Zakonem Krzyżackim przedstawiała Syrenę o torsie mężczyzny i ptasim tułowiu z jednym skrzydłem. Ta średniowieczna Syrena miała nogi zakończone raciami, ogon lwa i trzymała miecz, tarczę oraz koronę. Dopiero w XVII wieku warszawska Syrena przemieniła się w kobietę.

W 1936 r. Zarząd Miejski m. st. Warszawy ponownie dyskutował sprawę godła miasta. Specjalna komisja opracowywała rysunek pieczęci, dobierała barwy. Zastanawiano się wówczas, czy rzeczywiście w herbie ma być Syrena. Jesienią 1937 r. ówczesny prezydent miasta Stefan Starzyński odbył na temat herbu Warszawy rozmowę ze znaną rzeźbiarką Ludwiką z Kraskowskich Nitschową, autorką odsłoniętego niedawno w stolicy, udanego pomnika Marii Skłodowskiej-Curie. Rzeźbiarka wzięła w obronę Syrenę, nie zgadzając się z legendami głoszącymi, jakoby Syrena była chorobliwym tworem natury czy zdradliwą kusicielką. Zdaniem artystki — warszawska Syrena powinna być przedstawiona jako silna, bohaterka kobieta.

— Marzyłam — opowiada prof. Ludwika Nitschowa — że będzie to wielki monument wzniesiony na filarze wbitym w dno Wisły. Fale rzeki omijałyby postać Syreny — niosąc pozdrowienia Warszawy dalekim morzom i oceanom. Na pomniku Syreny lud warszawski mierzyłby przybór wody w Wiśle. W wyobraźni widziałam oświetloną reflektorami skarpe wiślaną tętniącą pełnią życia i potężny cień Syreny wieńczący panoramę miasta.

Prezydent uległ tej pięknej wizji Syreny królującej nad miastem, ale... zbliżyły się ciężkie, wojenne dni.

Rzeźbiarka szukała jednak modelki. W swej wizji widziała ją dumną, silną, niepokonaną, jak miasto, które przetrwało wiele burz, jednak pozostało niepokonane.

Dom profesorstwa Nitschów (prof. Roman Nitsch wykładał bakteriologię na Uniwersytecie Warszawskim) zawsze był pełen interesujących ludzi. Pani Nitschowa przyjaźniła się od czasu wspólnych studiów w Szkole Nauk Plastycznych z Wandą Kraheńską-Filipowiczową, wybitną indywidualnością, wielką patriotką, tą samą Wandą Kraheńską, która w 1905 roku rzuciła bombę na znenawidzonego rosyjskiego Gubernatora Skąłona.

Bratanica pani Kraheńskiej-Filipowiczowej — Krystyna Kraheńska — studentka entografii Uniwersytetu Warszawskiego, młoda, wówczas 22-letnia poetka i pieśniarka, też często bywała w domu państwa Nitschów. Ona właśnie wydała się artystce idealnym modelem do zamówionego przez stolicę pomnika:

— Krystyna była dla mnie okazem polskiej dziewczyny — wspomina pani prof. Nitschowa. — Wysoka, dobrze zbudowana. Włosy jak zboże. Niebies-

kie oczy. Klasyczna w swoim pięknie była dobrym modelem symbolu siły i obronności miasta.

Młoda dziewczyna zgodziła się pozować do przygotowywanych przez artystkę szkiców pomnika, który powstawał w nieczynnej hali warszawskich filtrów. Jesienią 1938 r. rzeźba Syreny była gotowa. Jej twarz, cała górna część korpusu oddawała wiernie postać Krystyny Kraheńskiej. Zrobiono odlew gipsowy. Prezydent Starzyński zobaczył Syrenę na wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki i zamówił pomnik. I oto na wiosnę odlana w brązie — spiżowa Syrena przeźwieszona została na Wybrzeże Kościuszkowskie u wylotu ul. Tamka. Zapowiedzianej uroczystości odsłonięcia pomnika, połączonej ze świętem flisaków i piaskarzy — przeszkodził wybuch wojny. Pomnik jednak pozostał i przetrwał wojnę. Niemcy podminowali go, ale nie zdążyli wysadzić.

* * *

Krystyna Kraheńska, wychowana w duchu patriotycznym, wstąpiła w szeregi konspiracyjnej Armii Krajowej. Przewoziła broń i amunicję. I pisze wiersze:

*Smutna rzeka, księżyc po niej pływa
Nad nią ciemne dionie chyli klon.
Spij dziecko, nic się nie odżywa.
Spi w mogiłach zakopana broń.*

*Smutna rzeka. Usnął las cienisty.
Srebrne gwiazdy spadły w srebrną toń.
Gdzieś na polach, gdzieś po lasach
Czuśnie drzemie zakopana broń.*

Dokończenie na str. 14

Prof. Ludwika Nitschowa w swej pracowni przy pomniku prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego



SYRENA I JEJ BOHATERKA

Urodzona w Mazurkach (Nowogródzka), pochowana w Warszawie



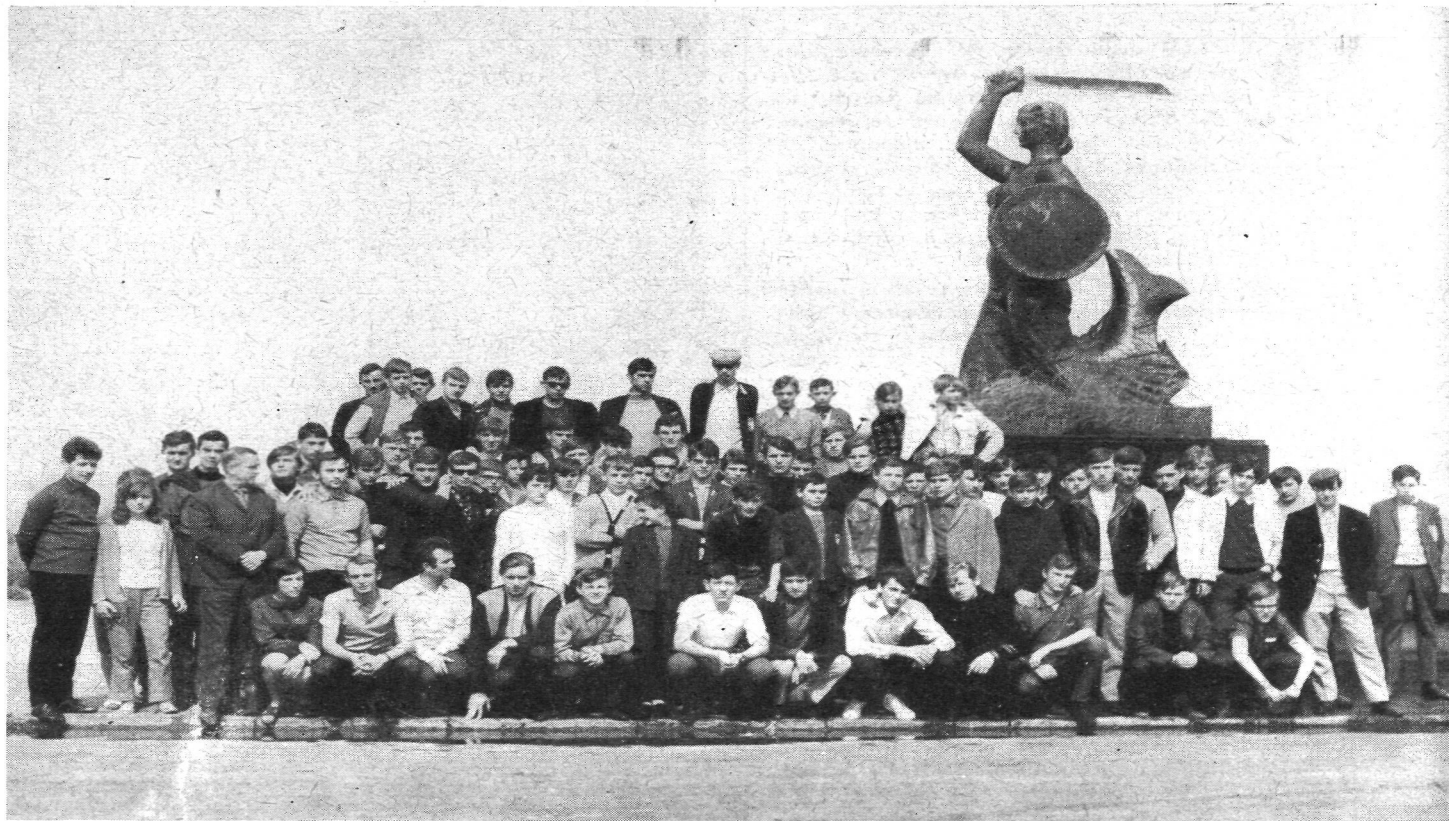
ECHA KOLONII

MIKUSZOWICE koło Bielska. Mieszkało ich tu przez cały miesiąc 35 z Francji, 18 — z Belgii, 1 — z NRF i 20 — z Polski. Wszyscy chłopcy w wieku od 14 do 18 lat, pełni energii i wielostronnych zainteresowań. Ze szkoły, w której mieli swą bazę wypadową, przez okna na północ widzieli centrum polskiego przemysłu włókienniczego — Bielsko-Białą, a przez południowe okna — porośnięte czarnym świerkowym lasem Beskidy, ciągnące się na wschód aż po Tatry i dalej.

Mimo nieco kapryśnej pogody schodzili te góry wzdłuż i wszerz, a gdy chcieli nieco odpocząć od pieszych wędrówek, siadali w autokary i jechali „w Polskę”. Tak poznali Kraków, Wieliczkę, Zakopane, Porąbkę, Żywiec, Wisłę, zwiedzili Oświęcim, a potem na 4 dni przyjechali do Warszawy.

Półowa z nich była już w Polsce, ale przeważnie prywatnie wraz z rodzicami. No koloniach byli tylko nieliczni. Według opinii kierownika, który już niejedną obóz kolonijny prowadził, tegoroczni goście mikuszowicy wykazali się dużym zainteresowaniem sprawami polskimi, grzecznością i układnością.

Daje się zauważyć w sposób wyraźny zmianę zainteresowań chłopców. Każdy z nich kupił w Krakowie albo lalkę w regionalnym stroju, albo drewniane inkrustowane kasetki, takie same talerze i laski. Jeden z chłopców był w wielkim kłopotcie, gdyż chciał matkę kupić piękny, ale bardzo drogi czeppek z koniakowskich koronek, a zabrakło mu pieniędzy.



Mikuszowicka bród pod Warszawską Syreną. Od lewej, I rząd siedzą: U. Feucenek (przewodnicząca), J. Stawiński (instruktor), M. Adamczyk z Katowic (wychowawca), M. Barszcz z Wasmes, S. Lukowski z Libercourt, P. Woźniak z Certre, M. Montulet z Huy, J. P. Szewczyk z La Hestre, F. Barszcz z Wasmes, K. Jankowski z Sosnowca, Zb. Górski z Zabrze, Bourbonneix Michel z Paryża. W drugim rzędzie od lewej stoją: St. Kocioliek z Katowic (wychowawca), nieznaną dziewczynka, Ed. Mlynec z Epinay, M. Skrzypek z Katowic, J. Kuska z Bytomią, R. Pleszczyk z Warszawy, M. Montulet z Huy, J. Poniąkowski z Chorzowa, A. Krzanowski z Czechowic-Dziedzic, J. Baszak z Genk, J. M. Brembor z Harnes, M. Blachnicki z Katowic, A. Jezierski z Sosnowca, Ph. Delattre z Harnes, Cl. J. Majewski z Harnes, D. Wiśniewski z Liège, wychowawczyni grupy dziewcząt, P. Szczepanek z Avion, jedna z dziewcząt z Wisły, D. Halbina z Oignies, B. Wróblewski z Tertre, dziewczynka z kolonii z Wisły, J. Plasecki z Divion, P. Roszkowicz z Blanc-

-Mesnil, G. Lukaszewski z Pecquencourt, Ch. Leleu z Bernisart, G. Marciniak z Flers, W. Kuc z Gliwic, J. P. Naja z St. Fenis, D. Jarczyk z Montigny-en-Ostrevent, J. P. Janki z Roubaix, D. Michinhean z Blanc Mesnil, J. P. Mis z Montigny-en-Ostrevent, J. Mróz z Katowic, E. Wachowiak z Condé-sur-Escaut, J. P. Antkowiak z Dourges, J. Ofiera z Katowic, R. Henryk z Genk, E. Dienner z Bully, R. Rio z Oignies, T. Skóra z Bielska, J. Golenia z Gliwic, J. M. Kazubski z Lille, Fr. Henek z Harnes, B. Kochejda z Czechowic-Dziedzic, M. Pawliczek z Czechowic-Dziedzic, J. Donocik z Czechowic-Dziedzic, T. i J. Wolni z Rybnika, R. Lasek z Houdain, E. Tessier z Orleans, D. Stanisławski z Somain. W trzecim górnym rzędzie stoją od lewej: J. Ch. Jankowski z Ghlin, C. Marquis z Arlon, J. Krupa z Chorzowa, P. Cugier z Lens, M. Kozłowski z Fleurines, G. Szczepaniak z Mericourt, T. Benegda z Waterloo, F. Deśnik z Dourges, G. Labus z Arion, J. Wagniak z Tertre, M. Pośpiech z Pszczyny, B. Jaszczuk z Noisy le Grand.

NA TRASIE MIKUSZOWICE-WARSZAWA

Z rozmów prowadzonych z gośćmi na tym męskim obozie wynikało, że miotają nimi sprzeczne uczucia. Dziwiła ich trochę skromna ilość marek samochodowych na ulicach polskich miast, z dezaprobatą przyjęli zbyt małą w porównaniu z Paryżem i Brukselą ilość i jakość neonów w Katowicach, czy w Warszawie, ale nie mogli się nadziwić temu, że wtedy gdy ani jeden z nich nie był w swym życiu dotąd w prawdziwym teatrze, ich polscy koledzy mieli za sobą po kilkanaście spektakli.

Z miesięcznego pobytu w Polsce wywieźli na pewno wrażenia przebogate i różnorodne. W ostatnim dniu pobytu w Warszawie byliśmy świadkami ich koleżeńskich wymian poglądów.

15-letni GERARD SZCZEPANIAK z Mericourt, który ostatnio był na koloniach w Wogezach, wyraźnie podkreśla dodatnie strony obozu w Mikuszowicach.

— Tu jest bardziej zielono, ładniej, mamy więcej wolnego programu, mniej ściszej dyscypliny i wogóle jest lepiej. Jestem oczarowany Krakowem. Jestem

tu po raz pierwszy, ale nie wiem dlaczego na podstawie opowiadań moich rodziców wydawało mi się, że zastanę Polskę nowocześniejszą.

— Jeszcze nowocześniejszą? — woła ze zdziwieniem DANIEL HALBINA z Oignies — czegoż ty jeszcze chcesz, to mało widziałeś tu pięknych nowoczesnych domów i wielkich fabryk budowanych niedawno? Zapytaj swoich rodziców, jak ta Polska wyglądała, kiedy oni z niej odjeżdżali. Moje najsilniejsze wrażenia? Oświęcim. My, tam we Francji, wiele słyszeliśmy o tym, ale żeby zdać sobie sprawę, co to było naprawdę, trzeba samemu na własne oczy zobaczyć te olbrzymie góry dziecięcych bucików i całe magazyny wypełnione po sufit ludzkimi włosami.

PIERRE CUGIER z Lens jest zachwycony gościnnnością Polaków.

— Zanim tu przyjechałem, widziałem u nas wiele odwiedzających nas Polaków i stosunek do nich Francuzów.

Teraz mam skalę porównawczą. Otóż stwierdzam, że Polacy są o wiele serdeczniejsi i gościnniejsi niż inne narodowości.

JEAN PAUL SZEWCZYK z La Hestre zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz, która mu tutaj rzuciła się w oczy:

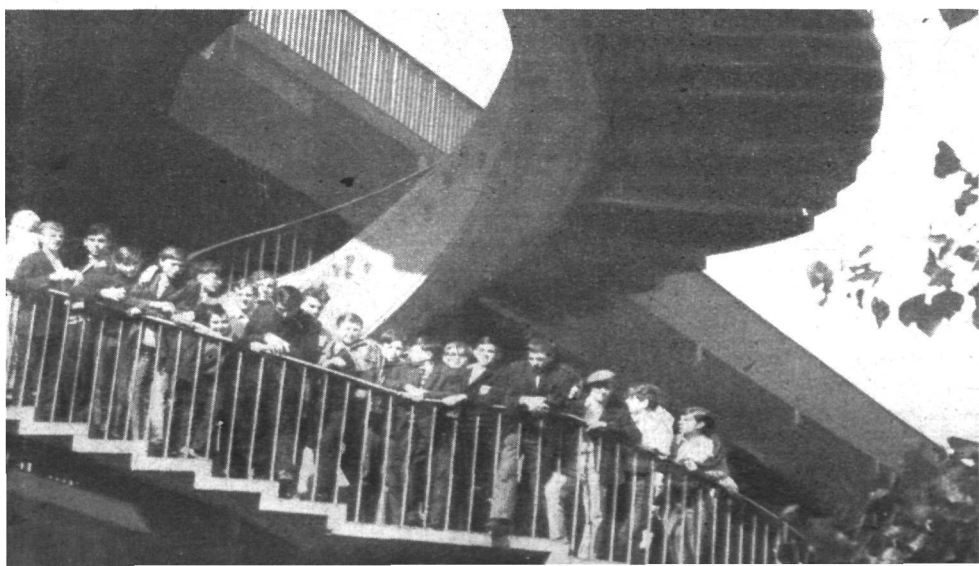
— Ten wielki pietyzm i ta skrupulatność, z jaką Polacy obudowali bez żadnych uproszczeń i łatwizn swoje zburzone pamiątki historyczne. I to nie tylko pojedyncze obiekty, ale całe miasta.

Jak ich było 74 na mikuszowickim obozie, na pewno każdy wywieźł z Polski inny ładunek wspomnień. Przytoczyliśmy zaledwie wypowiedzi kilku, na chybił trafił wybranych chłopców. Resztę opowiedzą oni sami po powrocie do domu.

Tekst: Cezary CHLEBOWSKI
Zdjęcia: Julita SWITALSKA



E. Dienner z Bully, G. Labus z Avion, J. M. Kazubski z Lille, Z. Lukociak z Libercourt na przejażdżce po Wiśle



I jak tu się nie sfotografować na spiralnych schodach wiodących z Wiślanego nadbrzeża na most Gdański? To przecież jeden z najbardziej fotogenicznych zakątków Warszawy. Chłopcom z Francji też się tu podobało

Przyjemnie jest się przy stoliku, nad którym króluje kolorowy parasol. Od lewej: Marek Pośpiech, Jan Mączka, Bohdan Kuchejda oraz Henryk Roman. Wszyscy chłopcy pochodzą z Francji



W MORYSINIE NIE BRAKOWAŁO WRAŻEŃ

LÓDŹ ma swoje „zielone płuca”, gdzie można odpocząć po pracy, położyć się w leśnym mchu i posłuchać szumu drzew. Można też zbierać grzyby i spacerować krętymi ścieżkami wśród sosnowych lasów. „Zielone płuca” Łodzi leżą niedaleko miasta; dojechać tam można miejskim tramwajem lub autobusem. Morysin odległy jest od centrum o dziesięć kilometrów.

Właśnie tam rozlokowała się kolonia dzieci polskich z Francji, z departamentów Lille i Lyon oraz Pas-de-Calais. Umieszczono je w dwóch eleganckich pensjonatach. Od pierwszego dnia pełno tu gwaru i krzyku. Słowa polskie miesza się z francuskimi. Jedni grają w piłkę nożną, drudzy w siatkówkę, jeszcze inni odpoczywają w cieniu drzew na ławkach. Są też amatorzy opalenizny, którzy na tarasach pensjonatów zażywają kąpiele słoneczne.

Gdzieś za drzewami słychać harmonię i śpiew: to jakaś grupka chłopców śpiewa polskie piosenki, po chwili zmienia się tylko akompaniator i znów śpiewają, ale tym razem po francusku.

Na ławkach wokół pięknego klombu siedzą dziewczynki i chłopcy — piszą listy do swych najbliższych, których może po raz pierwszy opuścili na dłużej. Oczywiście, gdy jeden drugiemu usiłuje przeczytać treść listu, wybucha kłótnia, bo... nikt nie chce się przyznać, że tęskni za mamą. Ale listy są krótkie, parozdaniowe. „Korespondenci” śpieszą się, bo nęci ich zabawa, która odbywa się obok: trzeba wymienić bramkarza, bo okazał się

gapa, a do śpiewania potrzebni są nowi soliści.

Wiecznie dzieje się coś nowego. Nie ma czasu na długie listy, chociaż niektórzy mają dużo wrażeń do opisanie: dla większości jest to przecież pierwsza podróż za granicę i to do Kraju, o którym wiele słyszeli od rodziców, a częściej od dziadków, którzy tu mieszkali, względnie mieszkają. Dopiero bowiem tu, na koloniach w Morysinie mieli możliwość zetknąć się z narodem i Krajem ich przodków.

SONIA MIESZCZAKOWSKA z trudem wymawia swoje nazwisko. W rodzinnym domu Soni mówi się po polsku, ale przecież dziewczynka wiele czasu spędza poza domem: chodzi do szkoły francuskiej, a później odrabia lekcje z francuskimi koleżankami. Ważne jednak, że Sonia mówi po polsku. Czasem brak jej słów, ale po pobycie na koloniach na pewno będzie mówiła lepiej. Sama przyznaje, że już tych kilka dni, które spędziła w Polsce, pozwoliło powiększyć zasób słów polskich. Ojciec Soni pracuje w kopalni w Pas-de-Calais, mama prowadzi gospodarstwo domowe. W Polsce Sonia jest pierwszy raz, z czego bardzo się cieszy.

HELENA GWIAZDA pochodzi z Mericourt, jej ojciec jest górnikiem. Rodzice urodzili się we Francji. Tylko dziadkowie pochodzą z Polski. Mimo to Helenka po polsku mówi nieźle. Stolica bardzo jej przypadła do gustu. Dobrze się czuje w Morysinie, ale wolałaby być na koloniach w Warszawie i na przykład zamieszkać na Wschodniej Sianie ulicy Marszałkowskiej. Właśnie ta dzielnica oczarowała ją najbardziej.

JAN DUDA we Francji mieszka w Jacquens. Na koloniach w Polsce czuje się doskonale: jest zapalonym piłkarzem, a ponieważ zapaleńców znalazło się więcej, więc nie ma czasu do stracenia: rozgrywa mecze piłki nożnej. Janek chwali polską kuchnię i twierdzi, że wszyscy jego koledzy są z wyżywienia zadowoleni. Rodzice Janka urodzili się we Francji, tylko dziadkowie pochodzą z Polski. Ojciec jest również górnikiem.



U góry od lewej: Sonia Mieszczakowska z dep. Pas-de-Calais, Helena Gwiazda z Mericourt, Ania Ludwikowska i Lilia Grzesiak z dep. Pas-de-Calais. Niżej od lewej: Balbina Zupancic, Halina Tawer, Denise Niedzielska z Lyonu. Wszystkie są po raz pierwszy w Kraju. Wróć tu chętnie jeszcze raz

Z wycieczki do Warszawy Janek wspomina pałac w Wilanowie i Pałac Kultury i Nauki, z którego oglądał panoramę stolicy. Dużym przeżyciem dla chłopca było przedstawienie w prawdziwym teatrze: „Ania z Zielonego Wzgórza” i „W pustyni i w puszczy” — Sienkiewicza. Obie sztuki podobały im się bardzo. Przeżycie było tym większe, że w teatrze dzieci były po raz pierwszy. Zresztą wszyscy koledzy i koleżanki Janka nie ukrywają, że dopiero w Łodzi po raz pierwszy widzieli prawdziwą sztukę teatralną.

ANIA LUDWIKOWSKA ma babcię w Katowicach, oczekiwała na jej przyjazd z utęsknieniem. Rodzice Ani urodzili się we Francji, ojciec pracuje w fabryce jako robotnik. Ania pierwszy raz w życiu wyjechała z domu tak daleko, ale obecność babci w Katowicach dodaje jej odwagi — jest zadowolona. Wspomina również wycieczkę do Warszawy i rosyjski cyrk, który oglądały dzieci. Oczywiście najbardziej podobał się jej balet na lodzie.

Wszystkie zresztą dzieci opowiadają o swoich wrazeniach z Warszawy, o tym, jakie kupowały upominki dla swych najbliższych we Francji. Dziewczynki uśmiechają się, bo najwięcej nabyły... cygar, przeważnie dla swych ojców, górników. Chłopcy kupowali paski do zegarków, takie z kompasami. Twierdzą, że we Francji podobnych nie widzieli.

Dzieci są pełne wrażeń. Mówią chętnie, a w ich opowiadaniach słychać najczęściej słowa: Warszawa, teatr, Wilanów, Pałac Kultury i Nauki. Tu, w Łodzi-Morysinie przeżywają swoje wrażenia po raz drugi, a czeka je jeszcze sporo różnych innych atrakcji — wycieczek, bo pobyt na koloniach jest urozmaicony.

Dokończenie na str. 8

W wolnych chwilach chłopcy przepadali za footballiem



Ten pensjonat wprawdzie przypomina stary zamek, ale jego wnętrze jest zupełnie nowoczesne i dobrze przystosowane na przyjęcie tak miłych gości



Roześmiane towarzystwo wesoło żegna przedstawicieli „Tygodnika Polskiego”. Może spotkamy się ponownie na koloniach w Polsce w przyszłym roku?

Dokończenie ze str. 7

Tyle wiemy bezpośrednio od dzieci. A teraz — co mówią o nich opiekunowie?

— W tym roku jest na koloniach ponad sto dzieci, w tym 69 z Francji, reszta z Polski. Dzieci szybko żyły się z sobą. Te z Kraju czują się jak gospodarze. Dbają, żeby gościom niczego nie zabrakło. Wszyscy są grzeczni i zdyscyplinowani, nie mamy z nimi żadnych kłopotów. Dzieci z Francji pochodzą ze środowiska górniczego, zazwyczaj dobrze rozumieją język polski i nieźle mówią, mimo że w większości przypadków tylko ich dziadkowie urodzili się w Polsce, a rodzice — już we Francji.

Ciekawy fakt: goście w porównaniu z dziećmi z Polski wypijali olbrzymie ilości płynów. Zupełnie nie smakowa-

ły im polskie kompoty, wolały pić wodę sodową albo zwykłą wodę z kranu. Po obiedzie obowiązywał odpoczynek, dzieci musiały przez godzinę leżeć w łózkach. Z początku niechętnie respektowały to zarządzanie, ale obecnie, kiedy nadchodziła pora poobiedniego odpoczynku, stawały się sennie i z ochotą kładły się do łóżek.

Przez okragły tydzień Morysini tętniły dziecięcym życiem. Jego stali mieszkańcy z sympatią spoglądali na roześmiane, opalone twarze miłych gości. Kiedy nadchodziła niedziela i tysiące łodzi przyjeżdżało do „zielonych płuc” swego miasta, dzieci z kolonii w tym czasie udawały się na wycieczkę albo zwiedzały ciekawe muzea lub przeżywały teatralną sztukę.

Na brak wrażeń nie mogły narzekać.

TEKST I ZDJĘCIA:
Krzysztof PRÓCHNICKI

RAZEM Z KANADYJCZYKAMI

PRZY WEJSCIU do Szkoły Podstawowej nr 5 przy ul. Zwirki i Wigury w Toruniu spotkałam grupki rośliwych, opalonych chłopców i roześmiane dziewczęta. Słychać było różnojęzyczny gwar. Angielsko-francuski, przeplatany mową polską. W przedsionku szkoły widniał napis:

**„Garść my tułaczy na obcej ziemi
Z dała od domu i rodu,
Zawsze my jednak byli wiernymi
Polsce i hasiom narodu”.**

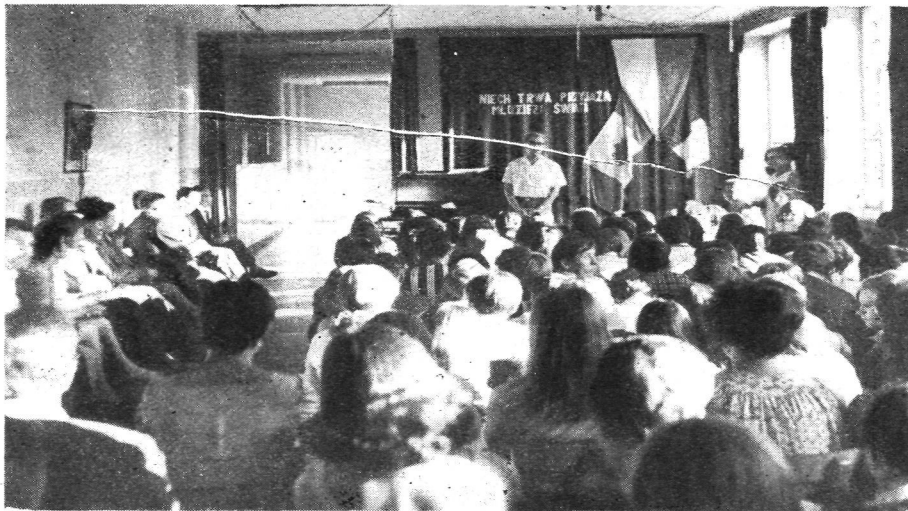
Tutaj, w budynku nowej szkoły stacjonował obóz Polonii zagranicznej. Ponad 150-osobowa grupa młodzieży w wieku 15—17 lat odpoczywała, śpiewała i bawiła się w nadwiślańskim grodzie.

Przyjechali z daleka. Od polskiej Ojczyzny dzieliła ich granice, morza, oceany. Ponad 30-osobowa grupa przybyła z Kanady, statkiem „Batory”. Najwięcej młodzieży pochodziło z Toronto, Montrealu i Windsoru. Towarzyszyły im dwie wychowawczynie. Panie: JANINA FALKOWSKA i JULIA NICOWSKA z Toronto.

Bardzo pochlebna opinię wydał grupie kanadyjskiej kierownik obozu p. K. Głowiński:

— Młodzież okazuje duże zainteresowanie wszystkim, co polskie. Podobają się jej zabytki, nasze miasto Toruń i cała Polska. Większość młodzieży mówi biegle po polsku. Grupę tę tworzą uczniowie różnych szkół amerykańskich. Jako ciekawostkę podać można fakt, że mimo iż chodzą do szkoły, pracują w soboty i niedziele, aby zarobić na własne wydatki. Najczęściej są kelnerami, sprzątaczkami, zmywają naczynta...

Za chwilę do pokoju weszła grupa uczestników obozu. WAYNE BIELASZKA z Toronto jest bardzo towarzyski. Przeprósł najpierw, że niezbyt wyraźnie mówi po polsku, ponieważ w jego domu rodzinnym używa się języka angielskiego. A kto go nauczył polskiej mowy?



Uroczystość zakończenia obozu. Przemawia zastępca przewodniczącego

— Babcia rozmawia ze mną zawsze po polsku — wyjaśnia. — Babcia pochodzi ze Szczucina koło Tarnowa.

Swoje wrażenia z Polski Wayne streścił w kilku zdaniach:

— Wszystko podoba mi się bardzo, bardzo, a najbardziej Warszawa. Jest bardzo piękna.

KRYSTYNA SULIK z Windsoru sprawia wrażenie poważnej dziewczyny. Po polsku mówi płynnie:

— Wyjechałam z Polski wraz z całą rodziną, mając 9 lat. Pochodzę z miejscowości Podleszanin Mielec w woj. rzeszowskim. Odwiedziłam teraz krewnych, którzy tam mieszkają. Jestem w Polsce po raz pierwszy od chwili wyjazdu. Dostrzegam wiele zmian. W miejscowości rodzinnej jest teraz całkiem inaczej, lepiej. Więcej

domów, lepsze drogi. Polska bardzo mi się podoba... Tutaj na koloniach jest wesoło. Polskie koleżanki chcą się uczyć angielskiego. Prowadzimy więc konwersacje...

Wśród 70-osobowej grupy Francuzów oprócz młodzieży szkolnej była także młodzież pracująca: górnicy, ekspedyci i in. Grupą opiekował się KAROL WRONSKI, student z Lille. Spośród miast francuskich najliczniej reprezentowany był Paryż, okolice Lyonu i Lille.

GRAZYNA DUSIŃSKA mieszka w Saint Etienne. Pamięta jeszcze czasy, kiedy wyemigrowała z Warszawy. Miała wtedy 6 lat.

— Kocham Warszawę i chętnie do niej wracam — powiedziała z przejęciem.

— A Toruń Ci się podoba?

— Toruń jest ładny. Szczególnie jego panorama nad Wisłą. Poza tym lubię toruńskie pierniki, najbardziej te w czekoladzie...

W czasie 30-dniowego pobytu w Polsce zorganizowano dla młodzieży mnóstwo atrakcji.

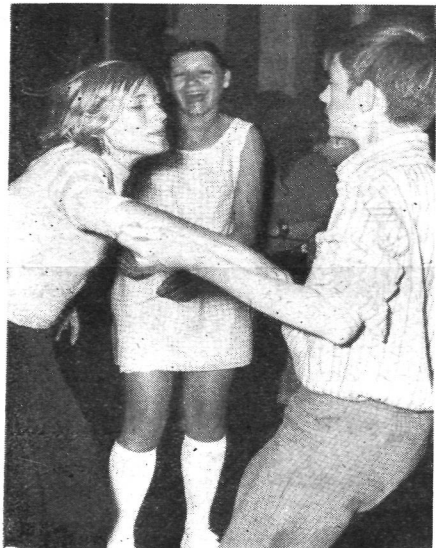
Najwięcej wrażeń dostarczyły wycieczki po Kraju. Młodzież zwiedziła polskie Wybrzeże, Warszawę, Kraków, Śląsk. Zobaczyła także miejsca upamiętnione walką Polaków w czasie ostatniej wojny. Pod pomnikiem Obrońców Westerplatte złożono kwiaty. Duże wrażenie na zwiedzających wywarło Muzeum Martyrologii przy Alei Szucha w Warszawie. A dla tych, którzy nie zdawali sobie sprawy, że Niemcy w czasie okupacji mogli dopuszczać się barbarzyńskich zbrodni na ludności polskiej, Oświęcim stanowiącym wymowny dokument.

— Młodzież jest zachwycona Polską — powiedziała na zakończenie kierownik obozu. — Myślę, że na swój kontynent i do swojego państwa przyniesie ona dobre wrażenia i właściwe pojęcie o Ojczyźnie.

10 sierpnia opustoszały mury budynku, w którym odpoczywała i bawiła się młodzież Polonii zagranicznej. Rozjechali się po świecie. Kanadyjczycy popłynęli statkiem „Batory” w kierunku swojego „Nowego Świata”. Francuzi są już w rodzinnych domach. Wielu z nich chciało Polskę ponownie odwiedzić w przyszłym roku.

A więc, do zobaczenia.

Danuta CIESIELSKA
Fot. A. KAMIŃSKI



Na zabawie i wesołych grach upływał im czas w Polsce szybko i przyjemnie

W obozie uczestniczyła młodzież z Torunia i Bydgoszczy, towarzysząc w zabawie swym Rodakom z zagranicy



PILNE! MATERIAŁ! PRASOWY!



fotografii prasowej. Ich współinicjatorem jest Centralna Agencja Fotograficzna — popularny CAF. Zorganizowana w 1951 r., wykształciła przez lata swego istnienia wiele tęgiej talentów fotoreporterskich. A fotografia prasowa jest sztuką niełatwą. Aby nadążyć za współczesnością, musi być twórcza i zaangażowana w życie Kraju — społecznym, kulturalnym, gospodarczym i politycznym. Ale przede wszystkim musi być aktualna. To znaczy szybko wykonywana i szybko dostarczana odbiorcom — redakcjom gazet i czasopism.

Fotoreporterzy CAF-u wykonują połowę zdjęć publikowanych w Polsce przez gazety codzienne i jedną trzecią — przez czasopisma. Zaczynając od bardzo skromnych początków, CAF stał się dziś agencją o zasięgu światowym. Z jej lokalu do setek redakcji wysyłane są co dzień koperty z nadrukiem: „Pilne! Materiał prasowy”. Do redakcji na czterech kontynentach.

J. GARZTECKI

Przed 50 rocznicą Powstania Wielkopolskiego



17 LETNI OCHOTNIK

WIADOMOSĆ o wybuchu powstania zastała mnie w Babkowicach, w powiecie Gostyń. Miałem wtedy 17 lat, mieszkałem u rodziców. Już wcześniej została założona u nas Straż Ludowa i gdy wybuchło powstanie, dziedzic musiał dać tej organizacji wóz, aby przewozić ochotników na miejsce zbiórki. Ja, wraz z grupą innych ochotników, pojechałem do Gostynia i tam zakwaterowany zostałem w cukrowni. Tych, którzy nie mieli żadnego przeszkolenia, kierowano do Jarocina, który został uwolniony jako pierwsze miasto Wielkopolski.

P. Kazimierz Kowalewski z Waziers przypomina sobie nawet ciekawe okoliczności, w jakich to się stało. W Jarocinie powstała rada żołnierska, Soldatenrat, złożona z żołnierzy armii niemieckiej. Wśród żołnierzy tych znalazło się kilku Polaków. Oni dopomogli do wyzwolenia miasta.

— Po czterech tygodniach ćwiczeń, które polegały na zapoznaniu nas z władaniem bronią, skierowano nas na front pod Zduny. Walczyliśmy o zdobycie Zdun dwa razy, gdyż Niemcy odbili je nam i znów trzeba było ich wypierać. Po ponownym wyzwoleniu Zdun zachorowałem. Odesłano mnie do szpitala w Krotoszynie, potem do Pleszewa i dopiero gdy odzyskałem kategorię A, powróciłem na front pod Piłę.

Później p. Kowalewski brał udział w marszu na Bydgoszcz. Gdy zajmowali koszarby poniemieckie, stacjonowali na dziedzińcach. Wnętrze budynków trzeba było przed zakwaterowaniem w nich żołnierzy dokładnie przejrzeć i rozminować. Niemcy pozostawiali granaty, poprzywiązane do klamek drzwi, ukryte w piecach.

— Dużo wśród nas było młodych, takich jak ja, którzy uciekli z domu, żeby walczyć z Niemcami. Byli to chłopcy z Babkowic, Pępowa, Gębowic, Krowi. Oficerów brakowało. Trochę Polaków — oficerów z niemieckiej armii było z nami. Pamiętam trzy nazwiska: Grudzielski, Hausner, Raszewski... Ale to wszystko było za mało. Spodziewaliśmy się, że podczas akcji bojowych starsi z żołnierzy zostaną awansowani na podoficerów i oficerów, jednak kampania w Wielkopolsce szybko została przerwana. Wysłano nas na Podole.

Przed 10 laty, w r. 1958, p. Kazimierz Kowalewski został udekorowany wraz z kilkudziesięcioma innymi uczestnikami Powstania Wielkopolskim Krzyżem Powstańcym. Uroczystość odbyła się w Konsulacie Generalnym PRL w Lille. Dekoracji dokonał przybyły specjalnie na ten dzień z Warszawy generał Eugeniusz Kuszko.

Obecnie nadchodzi 50 rocznica Powstania. Stary emigrant proponuje, aby uczcić ją należycie. Istniał kiedyś w północnej Francji Związek Powstańców Wielkopolskich. Prezesem jego był p. Walerian Budzyński z Marles. Związek liczył 14 kół terenowych. Tradycje tego związku są wciąż żywe. Ze wzruszeniem wspominają ludzie uroczystość w Konsulacie sprzed 10 lat. Nie można dopuścić, żeby 50 rocznica Powstania Wielkopolskiego minęła bez echa.

STO DZIESIĘĆ LAT temu wykonano w Warszawie pierwszą fotografię dla krajowej prasy, i to w niezwykle sposób.

Zdjęcie robione było na drewnianym kločku pokrytym emulsją fotograficzną, po wywołaniu na kločku wryto sfotografowany przedmiot: wizerunek pieczęci Warszawskiego Towarzystwa Rolniczego. Ten „fotograficzny drzeworyt” ukazał się następnie w Warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym”, a autorem jego był słynny fotograf Karol Beyer, uznany powszechnie za ojca polskiej fotografii. W roku bieżącym przypada zaś dziesięciolecie pracy Klubu Fotografii Prasowej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

Te dwie rocznice uczczono pięknie Dziesiątą Ogólnopolską Wystawą Fotografii Prasowej we Wrocławiu, połączoną ze zjazdem Klubu.

Oprawa była wspaniała. Wystawa odbywała się w Muzeum Architektury i Odbudowy Wrocławia. Mieści się ono w gotyckim poklasztornym budynku z XIV wieku, odbudowanym z gruzów. Sklepienie krużganki i wielka sala refektarzowa wypełniły się stelazami, na których umieszczono zdjęcia — plon konkursu tegorocznego.

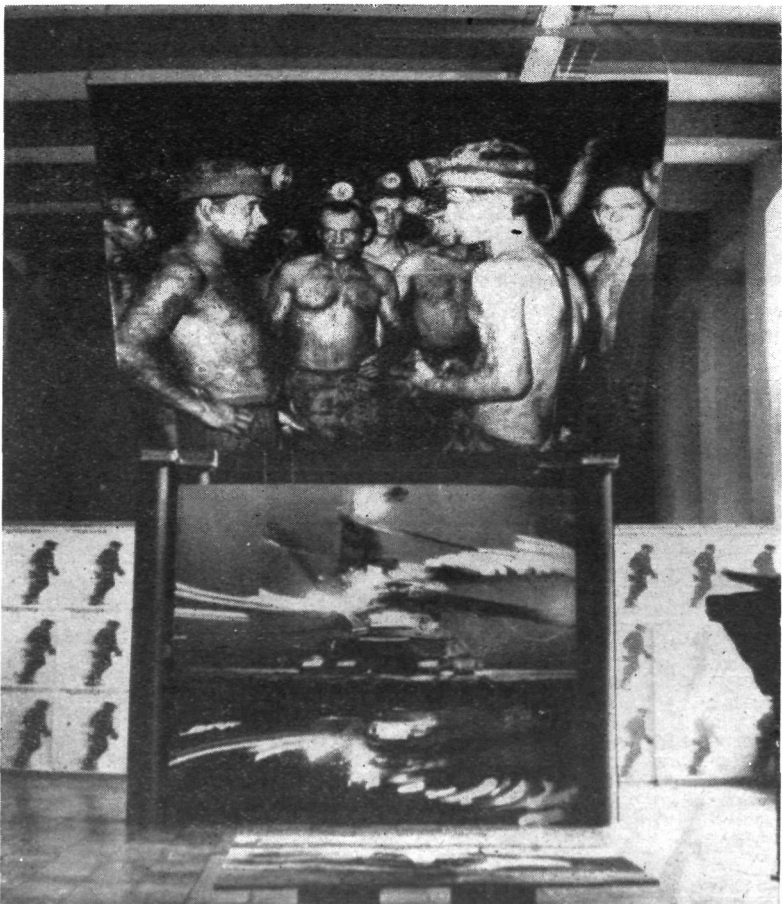
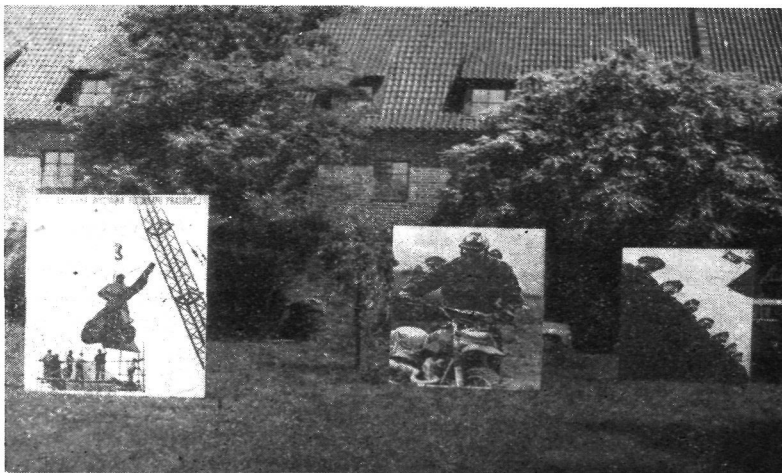
Na dziesięć kolejnych konkursów wpłynęło ogółem ponad 8 tysięcy zdjęć polskich fotoreporterów, jedna trzecia z nadesłanych znalazła się na wystawach ogólnopolskich, a blisko 250 uzyskało nagrody i wyróżnienia.

Na zjazd Klubu Fotografii Prasowej przybyli liczni goście zagraniczni. Wieczorem zaś w Sali Rycerskiej zabytkowego wrocławskiego ratusza, pod łasem sztandarów z herbami miast i ziem dolnośląskich przyjmował uczestników przewodniczący Rady Narodowej m. Wrocławia, wybitny matematyk prof. Bolesław Iwaskiewicz.

W Sali Rycerskiej przyjmowani są tylko najwybitniejsi goście miasta. Skąd więc taki zaszczyt dla skromnych fotoreporterów?

Polska fotografia prasowa ma dziś bardzo wysoką ocenę w całym świecie. Od kilku lat ta specjalność dziennikarska ma poświęcone sobie dwie doroczne wystawy międzynarodowe. Jedną z nich — World Press Photo — odbywa się w Hadze, druga — Interpress Photo — kolejno w stolicach różnych krajów socjalistycznych, m.in. trzy lata temu w Warszawie. Na wszystkich kolejnych wystawach autorzy polscy zdobywali wysokie nagrody, przynosząc zaszczyt Krajowi, który reprezentują.

Doroczne konkursy ogólnopolskie przyczyniają się natomiast walnie do utrzymania i stałego podwyższania poziomu polskiej





W siedzibie Zarządu Głównego ZBoWiD w Warszawie odbyło się spotkanie działaczy ZBoWiD z dziećmi byłych żołnierzy polskich II wojny światowej, mieszkających w Wielkiej Brytanii. Młodzież powitał wiceprezes Zarządu Głównego Jan Mazurkiewicz — „Radosław” — (przemawia) były dowódca KE-DYWU Armii Krajowej



Wielka uroczystość katolicka w Świętej Lipce na Warmii



W dniu święta Wniebowzięcia Marii Panny odbyły się w Świętej Lipce na Warmii wielkie uroczystości religijne, w których wzięło udział oprócz kardynała Wyszyńskiego trzydziestu biskupów, wielka ilość księży, także ze zgromadzeń zakonnych, oraz wiernych.

Pulsujący zbiornik na szczycie Żar

W pobliżu Żywca mieści się wzniesienie Żar. Znajduje się tam również lotnisko sportowe. Tam też właśnie, na szczycie (425 m różnicy poziomów) powstanie duży zbiornik wodny, zdolny pomieścić 2 miliony metrów sześciennych wody. Będzie miał przy maksymalnym napełnieniu 17 m głębokości. Podziemnymi sztolniami woda będzie spływać na łopatki turbin posiadających łączną moc 480 megawatów. Woda gromadzić się będzie w Jeziorze Międzybrodzkim, skąd w godzinach słabego zużycia prądu elektrycznego tymi sa-

Zioła lecznicze z pól uprawnych i łąk

Uprawy ziół leczniczych są pracochłonne, lecz mimo to rolnicy w Polsce chętnie je prowadzą, przynoszą one bowiem doskonały dochód. Pogoda w tym roku nie bardzo tym plantacjom dopisała, ale mimo to „HERBAPOL”, przedsiębiorstwo zajmujące się w Polsce skupem i przetworzeniem ziół leczniczych, przewiduje zakup co najmniej 20 tys. ton w ciągu roku. Niezależnie od specjalnie prowadzonych upraw 21 rodzajów roślin na ok. 20 tysiącach hektarów (koper włoski, kozłek lekarski, kolender, mięta, czarnaśka i wiele innych) — istnieje „kilka dywizji” zbieraczy, których zarejestrowano prawie 60 tysięcy. Dostar-

Parafia w Świętej Lipce była przez długie lata ośrodkiem kultu maryjnego, a kościół — powszechnie znany przez miłośników architektury sakralnej — powstał w XVII wieku i jest wspaniałym przykładem baroku. Był to silny ośrodek polskości na Ziemiach Zachodnich.

mymi turbinami będzie przepompowywana z powrotem do górnego zbiornika, co umożliwi magazynowanie energii.

Planiści obliczyli, że inwestycja kosztować będzie 2 miliardy złotych, dając jednak ogromną ilość energii w ciągu zaledwie 1200 godzin rocznie rozwiąże wiele trudności w szczytowych momentach poboru elektryczności przez wielkie zakłady przemysłowe w Kraju. Dla budowniczych zakładu hydroenergetycznego zbuduje się hotel wraz z zapleczem restauracyjnym i drogami dojazdowymi. W 1976 roku, gdy budowa będzie zakończona, urządzenia przejdą w ręce turystów.

W ten sposób zostanie wzbogacone doskonale miejsce turystycznych wycieczek.

czają oni 5 tysięcy ton suszonych liści, kłaczy i korzeni rocznie, choć „Herbapol” już zaczyna mieć kłopoty. Ludność wiejska ma na swoich gospodarstwach pełne ręce roboty: dlatego coraz bardziej przeredzają się szeregi zbieraczy. A produkcję ziół leczniczych trzeba utrzymać na obecnym poziomie. Chodzi bowiem o utrzymanie eksportu ziół leczniczych m. in. do Francji, USA czy NRF (eksport prawie 5 tys. ton w 1967 r.). Dlatego planuje się organizowanie grup zbieraczy spośród starszej młodzieży szkolnej i studentów. Umożliwi im to dobry zarobek w czasie wakacji.

Biskup Pękala utonął w Morzu Czarnym

Tragiczny wypadek wydarzył się nad Morzem Czarnym w Bułgarii. Przebywał tam suffragan a zarazem wikariusz generalny diecezji w Tarnowie, ks. bp. Kazimierz Pękala. Wypadek zdarzył się w czasie kąpieli w Morzu Czarnym 14 bm. Ks. biskup Pękala miał lat 58. Przypuszczalną przyczyną śmierci było nagłe zastąpienie serca.

Sklepienie bez rusztowania

Najprzód ustawia się namiot o przekroju łukowym, półkulistym. Potem wdmuchuje się powietrze potężnymi wentylatorami; buduje się komorę ciśnieniową, aby można było wejść do wnętrza i prowadzić prace montażowe. Wewnątrz naprężonego ciśnieniem namiotu znajduje się platforma z agregatem, który można umieścić na szynach lub na gaśnienicach. W skład agregatu wchodzi kompletne urządzenie dozujące, mieszarka, sprężarka z wtryskarką oraz zbiornik płynnego laminatu cementowo-szklanego, który teżeje w ciągu 24 godzin. Agregat zakończony jest długim wysięgnikiem, który natryskuje napiętą czaszę namiotu. W ten sposób umożliwia się wytworzenie niezbędnej 4 mm warstwy tworzywa, które następnie dalszym natryskiwaniami pogrubia się, a wreszcie zdejmując namiot, montuje otwory okienne itd. Namiot można oczywiście zastosować w innym miejscu.

Według opinii fachowców pomysły inż. A. Ramczykowskiego z Biura Projektów Budownictwa Morskiego w Gdańsku jest rewelacyjny i może wywołać prawdziwy przewrót w budownictwie wielkich hal magazynowych, widowiskowych, fabrycznych. Pomysł został oczywiście opatentowany.

Według autora wynalazku najkorzystniejszy jest kształt rozwiniętego parasola, ale

można nadać hali kształt wydłużonego prostokąta zamkniętego dwoma półkolami, a więc dwóch połówek półkuli połączonych sklepieniem walcowym.



W Lublinie i Białej Podlaskiej przebywał wraz z małżonką Adrianą obywatel włoski Catullo Bolacco z Werony. W czasie wojny jako oficer armii włoskiej był on jeńcem hitlerowskiego obozu w okolicy Białej Podlaskiej. C. Bolacco zgłosił się w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Białej Podlaskiej. Zeznał on, jak w obozach zorganizowanych przez hitlerowców na terenie Polski zostało wymordowanych lub zmarło około 100 tysięcy oficerów i żołnierzy wioskich

Jednym ZDANIEM

● Ciągłe jeszcze nie podjęto ostatecznej decyzji co do budowy metra w Warszawie, a więc proponuje się nowe rozwiązania. Ostatnio „Życie Warszawy” zaproponowało, by po prostu główne linie tramwajowe zaopatrzone w szybkie tunele tramwaje wypuścić płytkim tunelem pod ziemię.

● 502 barki o 240 tys. ton ładowności, należące do przedsiębiorstwa Żeglugowego we Wrocławiu, pływają po Odrze od Głie do Szczecina. Tylko w tym roku spłynę na Odrę 98 nowych jednostek, w tym 41 barek motorowych i 17 pchaczy.

● Łabędź pomylił trasę lotu i wylądował w Warszawie przed pomnikiem Feliksa Dzierżyńskiego. Ładowanie nie było zbyt udane, gdyż ptak ten przystosowany jest raczej do „wodowania”. Niefortunny gość został odstawiony do ogrodu zoologicznego, gdzie się nim zaopiekowali fachowcy.

● W stoczni w Gdyni budować się będzie nowoczesne trawlerzy typu B-411 do połowu z fura — dla armatorów rybackich z Francji. Jednostki te będą miały w pełni zautomatyzowany napęd, który pracować będzie całą dobę bez obsługi.

● W 25 rocznicę bitwy partyzanckiej pod Rąbłowem w woj. lubelskim stanie tam z inicjatywą młodzieży harcerskiej piękny pomnik partyzantów. Polskim oddziałem dowodził Mieczysław Moczar — wówczas w stopniu podporucznika.

● Dla 4 milionów gospodyń wiejskich centrala Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” przygotowuje specjalny program unowocześnienia ich prac domowych. Chodzi o wprowadzenie nowych urządzeń technicznych: pralek, lodówek, elektrycznego sprzętu — oraz ich naprawy w punktach usługowych.

Tygodniowa GAWĘDA

- ▲ Hitlerowskie mydło RIF
- ▲ Dopuszczali się każdej zbrodni
- ▲ Następcy działają

Całą prasę światową obiegła wiadomość o odnalezieniu we Włoszech kawałków mydła oznakowanego literami RIF, którymi hitlerowcy oznaczali mydło sporządzone z tłuszczu ludzkiego zamordowanych przez nich ofiar. Również w Polsce odnaleziono ostatnio kilka kawałków takiego mydła. W związku z informacją z Włoch zgłosił się do Polskiej Agencji Prasowej inż. Tadeusz Świątkowski z Otwocka, przynosząc 4 kostki mydła, na których wytłoczono są znaki „RIF 0142”, „RIF 0516” i „RIF III”. Mydła te znalazł jeszcze w czasie okupacji za siedzeniem niemieckiego samochodu na terenie Miawy. Również w Sandomierzu odnaleziono takie mydło. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich zajęła się ekspertyzą tych mydeł.

Sprawa owej makabrycznej fabryki mydła znana jest w Polsce nie od dzisiaj. Już w 1945 roku, po wyzwoleniu Gdańska, odkryto tam w kompleksie zabudowań Instytutu Higieny pozostałości tej fabryki z szeregiem kadzi, wypełnionych częściami zwłok ludzkich, przeważnie odartymi ze skóry. Odnaleziono też stół z około 2 kg mydła sporządzonego tam z tłuszczu ludzkiego.

Na Zachodzie często nie dawano wiary doniesieniom z Polski o bestialstwach hitlerowskich. Zresztą wiele z tych rzeczy do dziś jest tam nie znanych. Pozwólcie, że przytoczę kilka faktów:

1) sprawa zbioru szkieletów ze Strassburga. W tej sprawie zachowała się pełna dokumentacja, korespondencja SS Hauptsturmführera Hirta, dyrektora zakładu anatomii w Strassburgu, z Himmlerem i Eichmannem. Do Strassburga dostarczono 115 osób spośród więźniów Oświęcimia (79 Żydów, 2 Polaków, 4 z Azji Środkowej i 30 Żydówek) celem sporządzenia z nich zbioru szkieletów. Więźniów dostarczono do obozu w Natzweiler, którego komendant Joseph Kramer, sądzony w 1945 r. przed Trybunałem 10 rejonu zeznał przesłuchującemu go płk. Jadinowi (Kramer został skazany na karę śmierci i stracony), że na polecenie swych władz, otrzymawszy od prof. Hirta gaz trujący, własnoręcznie, przy pomocy kilku SS-manów, wymordował dostarczone mu więźniarki i więźniów w komorze gazowej. Zwłoki zamordowanych przetransportowano do Strassburga, gdzie je zakonserwo-

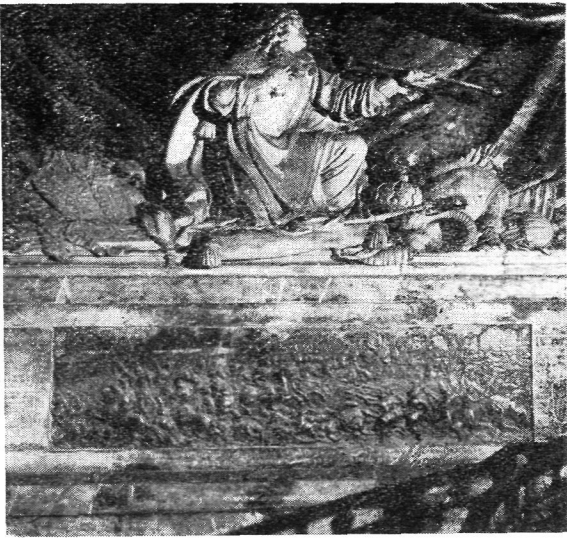
wano i złożono do zbiorników. Część z nich zastali alianci po wyzwoleniu miasta.

2) W archiwum Zakładu Historii Medycyny w Krakowie znajduje się broszura p.t. „Über die Möglichkeit der Wiederverwendung des Goldes im Munde der Toten”. („O możliwości ponownego zastosowania złota z ust zmarłych”). Autorem jej jest dentysta Viktor Scholz z Wrocławia. Jest to jego praca doktorska, wydana w 1940 r. Scholz dostał swój doktorat, a w Oświęcimiu i w innych miejscach zagłady specjalnie grupy więźniarskie, zaopatrzone w obęgi musiały wyłamywać milionom zagazowanych ludzi złote zęby, mostki itd. Przetopione złoto wędrowało potem do skarbcza III Rzeszy, jeżeli „po drodze” nie pokradli go sami funkcjonariusze SS. Podczas procesu oświęcimskiego we Frankfurcie wyszło na jaw, że sądzony tam (dziś już zwolniony!) oficer SS, aptekarz Capesius, przechowywał u siebie walizkę złotych zębów, wyłamanych trupom.

3) Eksperymenty dokonywane na więźniach w hitlerowskich obozach koncentracyjnych przez niemiecką „szkołę zdrowia” powodowały śmierć w męczarniach, trwałe kalectwo (też kończące się z zasady zamordowaniem więźnia) — rzekomo „w imię nauki”. Oto niektóre tylko metody tam stosowane: trzymanie więźniów przez kilka godzin w basenach z lodowatą wodą dla sprawdzenia wytrzymałości ludzkiej na zimno; umieszczanie więźniów w komorach o niskich ciśnieniach dla sprawdzenia możliwości ratowania lotników w czasie lotów stratosferycznych; zarażanie więźniów malarią, tyfusem, bakteriami ropnymi, celowe zanieczyszczanie ran dla sprawdzania nowych, nie wypróbowanych leków; wywoływanie bolesnych oparzeń fosforem z bomb zapalających dla eksperymentów z preparatami farmaceutycznymi; naświetlanie promieniami Roentgena części rodnych dla zbadania sposobu masowej sterylizacji (zamierzonej w stosunku do narodów słowiańskich); podawanie więźniom różnych trucizn dla sprawdzenia ich działania.

Dosyć! Mogłbym tak jeszcze długo wliczać historię tych nieludzkich zbrodni. Po co? Następcy zbrodniarzy w Niemczech Zachodnich i tak będą prosperować.

MARIAN



Nagrobek króla Polski Jana Kazimierza w kościele Saint-Germain-des-Près w Paryżu

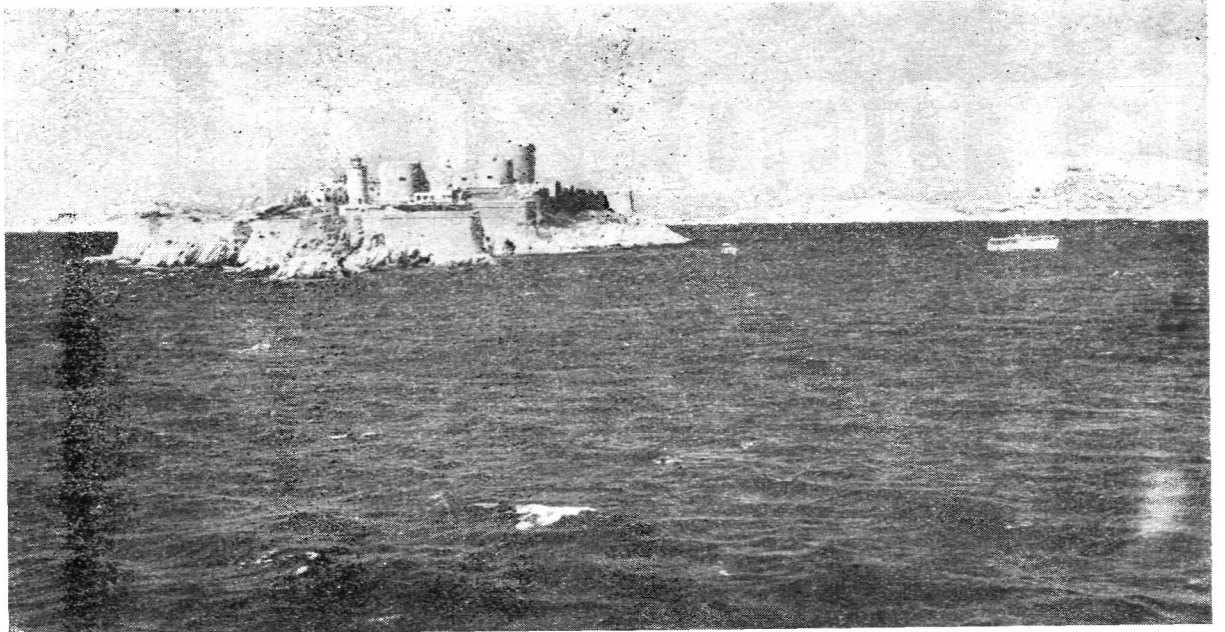


Znany kościół Saint-Germain-des-Près w Paryżu, w którym spoczywa serce króla Jana Kazimierza

PŁEKNY, słoneczny dzień, który w Marsylii należy do reguły, a nie do wyjątków. Szeroki boulevard de Canebière, jedna z głównych arterii tego milionowego miasta, lekkim skosem opada ku morzu. Wielkie, choć stare, wielopiętrowe domy patrzają sobie nawzajem w swe okienne oczy. Wielobarwny tłum południa tłoczy się na chodnikach i na skrzyżowaniach ulic. Jak wszędzie we Francji setki i tysiące aut płyną szerokim potokiem po głównych ulicach. Przebywanie w mieście w takie skwarne południe nuży i męczy, upał staje się bardziej znośny dopiero u wylotu słynnej marsylijskiej Canebière. Już z dala, gdy się schodzi w dół, widać po prostu las masztów. Są tam tęgie, grube kutry rybackie, małe zwinne jachty, szybkie motorówki i ślizgi. Wszystkie to zakotwiczone w starym marsylijskim porcie. Tuż u samego nabrzeża, skoro zawieje silniejszy podmuch od morza, czuć specyficzny zapach świeżych ryb. Tutaj czas jakby zastygł i zatrzymał się w miejscu.

Nadal, tak jak przed wiekami, rybacy sprzedają swe złowione ryby i wszelkie morskie stwory wprost z łodzi. Ruch przy łodziach duży, gdyż i towar świeższy, i ceny niższe. Tak przed wiekami musiał również wyglądać marsylijski port, który u keji zamienia się w pewnych godzinach w krzykliwe i rojne targowisko. W centralnym zaś punkcie nabrzeża stoją małe motorowe sta-

Płyta na nagrobku króla Jana Kazimierza



Wyspa i zamek If

SERCE KRÓLA

teczki z reklamowym napisem „Chateau d'If”. Utrzymują one stałą komunikację z małą wyspą, która należy do największych atrakcji Marsylii.

Podróż na wyspę trwa zaledwie kilkanaście minut. Po drodze popatrzeć można na najważniejsze zabytki na morskim wybrzeżu. A zatem po lewej stronie starego portu znajduje się antyczny klasztor św. Wiktora, najstarsza chrześcijańska świątynia Francji, zbudowana 150 lat przed przyjęciem chrześcijaństwa przez Kłodwiga. Nieco bliżej brzegu morza wznosi swe mury potężny fort św. Mikołaja, niegdyś duma Ludwika XIV. Na przeciwległej zaś stronie starego portu wznosi się również dawny, choć nieco mniejszy fort św. Jana z kamienną latarnią morską. Na jej szczycie, uzbrojonym w żelazne palenisko, niegdyś przed wiekami paliły się bez przerwy suche polana sosnowe, a dym we dnie i ognie w nocy wskazywały drogę zabłąkanym na morzu żeglarzom.

W dole, tuż obok fortów, głęboko pod ziemią ciągnie się wspaniały tunel — jedna z największych inwestycji drogowych Marsylii. Dalej nasz stateczek mija wysoko na skale położony pałac Napoleona III, darowany potem miastu przez żonę cesarza. Jeszcze jedno zakole i już płyniemy wzdłuż wspaniałej promenady i najbardziej eleganckiej, choć ze względu na morze jednostronnie zabudowanej, długiej ulicy Corniche. Z wolna jednak piękne luksusowe wille maleją, gdyż bierzemy kurs na pełne, jakże pięknie błyszczące wody marsylijskiej zatoki. Tu i tam na jej powierzchni czernieją rozrzucone w nieładzie mniejsze i większe skaliste wyspy. Kierujemy się na jedną z nich.

Wspaniałe kamienne zwaly piętrzą się na tej wysepce, której długość nie przekracza 300 m, a szerokość 200. Za to imponująca jest jej wysokość, ukoronowana na szczycie kamienną konstrukcją zamku-twierdzy, pod którą kamień węgielny kładł król Franciszek I w roku 1524.

Dobijamy do kamiennej przystani. Pasażerów niewielu, a i na wyspie też niewielu turystów. Po kamiennych schodach, kutych przez więźniów tego zamczyska, wchodzimy na płaski szczyt kamiennej, w morze rzuconej wyspy. Na lewo wznosi się skromne zabudowania gospodarce, w których dziś urządzone mały bufet dla turystów i plażowiczów, na prawo zaś otwiera przed nami swe podwoje niby już renesansowa, ale jakże średniowieczem tchnąca budowla. Przez most zwodzony nad zasypaną fosą przechodzimy do wnętrza, mijając silnie uzbrojoną bramę i wydaje się nam, że koło historii cofnęło się o kilka wieków. Na niewielkim dziedzińcu jakże stara i archaiczna kamienna studnia, głęboko kuta w skale, a tuż obok niej mały kiosk z pocztówkami i pamiątkami.

TWIERDZA na wyspie If ma kształt kwadratu, do którego krańców zewnętrznych przybudowane są potężne trzy okrągłe baszty. Dziś wnętrze zamczyska robi na zwiedzającym dość ponure wrażenie, jako że zamek w późniejszych wiekach stał się więzieniem politycznym dla różnych nieraz dla państwa niebezpiecznych jednostek. We Francji, a także w innych krajach nazwa „Chateau d'If” stała się sławna

przez znaną powieść Alexandra Dumas „Hrabia Monte Christo”, gdyż tutaj właśnie było miejsce zesłania bohatera powieści.

Wśród tej zadumy nad przeszłością wyspy i jej zamku jedna zwłaszcza myśl, jedno wspomnienie uparcie i natrętnie atakuje pamięć. To wspomnienie o jednym z najbardziej tragicznych władców Polski, który na te dalekie wody swą ambicją zagnany — tutaj właśnie przeżył klęskę i upokorzenie. Jan Kazimierz — młodszy syn Zygmunta III Wazy i zarazem przyrodni brat Władysława IV był tutaj również przed trzema setkami lat.

Urodzony w roku 1609 w Krakowie, za życia ojca musiał przykładać się do nauk, ale po jego śmierci „pędził w Warszawie życie beczynne, bawiąc się pieskami, kartami i chowając ptaszki” — co według relacji nuncjuszów — oczywiście przerażało rozsądnych senatorów. Jako siostrzeniec cesarza Ferdynanda II brał udział w wojnie trzydziestoletniej i walczył przeciw Francuzom (1635).

W dwa lata potem zawarł w imieniu brata Władysława IV ślub per procura z arcyksiężniczką cesarską, a sam z kolei nawiązał romans z piękną Szwedką Goldensterówną i pragnął się z nią ożenić, co wywołało oburzenie w rodzinie i u senatorów.

Następnie rozgniewany na szlachtę polską, iż nie myśli o należnym zaopatrzeniu brata królewskiego, opuścił Kraj i wyprawił się do Hiszpanii, gdzie mu obiecano godność admirała. Przez Austrię, Włochy dostał się do Genui. Tam załadowawszy się na statek ruszył w stronę Barcelony. Niestety, zazwyczaj dość spokojne Morze Śródziemne w tych dniach rozszalało się nagle i nie przyzwyczajony do morskich peregrynacji nasz bohater, zbyt boleśnie przeżywając morską chorobę, postanowił wysiąść w pierwszym napotkanym porcie.

Dobito zatem do wybrzeża w porcie Saint-Tropez, gdzie polski królewicz wysiadł i dalszą podróż odbył konno (przez Prowansję do Marsylii). Statek zaś bez zwłoki, mimo burzy, ruszył w dalszą drogę. Załoga miała czekać na Jana Kazimierza w porcie marsylijskim.

Inne były wtedy plany rządzącego Francją kardynała Richelieu. Skoro agenci donieśli mu, że polski królewicz jako stronnik Habsburgów udaje się z Włoch do Hiszpanii, na dworze w Luwrze zapadła decyzja o pochwytnym siłą Jana Kazimierza i osadzeniu go w warownym zamku Chateau d'If.

Tymczasem w maju 1633 roku u brzegów wyspy d'If zakotwiczył statek genueński „Diana”, którego załoga tutaj, zgodnie z umową, oczekiwała na Jana Kazimierza, podróżującego pod imieniem szlachcica polskiego Kanaposkiego.

Mijały dni, a najważniejszy pasażer na pokład statku nie wszedł. Wreszcie dnia 9 maja kilku marynarzy, którzy wysłani przez kapitana do Marsylii codziennie zaglądali do umówionego zajazdu, pytając o szlachcica Kanaposkiego, ucieszyli się jego przybyciem. Nie zatrzymując się długo na lądzie, Jan Kazimierz wraz z marynarzami „Diany” dowiosłował szczęśliwie do statku, na którego pokładzie miał dobić do brzegów Hiszpanii. Uradowana przybyciem królewicza załoga podniosła żagle, by wreszcie zakończyć ten przydługi postój u wybrzeży wyspy If.

Pod potężnym podmuchem mistralu „Diana” szybko sunęła naprzód ku wymarzonemu brzegowi Barcelony. Niestety i aura była po stronie kardynała. Zaledwie zaczęły znikać daleko na hor, zonie wysokie wieże marsylijskich kościołów, gdy siła wiatru zaczęła słabnąć i już na wysokości Port de Bouc cisza poczęła wyglądać spienione wody, żagle obwisły, gdyż najlżejszy nawet podmuch nie zakłócił tak złowrobną martwoty morza.

Cisza uwięziła załogę „Diany” w zasięgu dział twierdzy de la Tour. Tymczasem agenci Richelieu nie próżnowali. Z wolna zaciskał się krąg podejrzeń, że szlachcic Kanaposki to właśnie młody król Jan Kazimierz. Gubernator Prowansji, hrabia d'Alais, wydał dowódcy twierdzy nakaz aresztowania polskiego królewicza i osadzenia go w Chateau d'If.

BYDGOSZCZ WE WRZEŚNIU

DES LES PREMIERS jours des hostilités, les troupes hitlériennes montrèrent leur hideux visage. Le monde devait au cours des premières journées de septembre apprendre ce qu'allait être l'occupation de la soldatesque allemande. Pendant plusieurs semaines la propagande hitlérienne ne parla que de Bydgoszcz et des soi-disant cruautés polonaises. Les événements se passèrent de la manière suivante: au moment de la retraite de l'armée polonaise à travers la ville de Bydgoszcz des tireurs anonymes firent feu sur les soldats polonais. Il s'agissait d'Allemands qui soit habitaient la ville, soit avaient été envoyés quelques semaines avant l'éclatement de la guerre à l'intérieur des arrières des armées polonaises. Les forces polonaises aidées de la population civile de la ville de Bydgoszcz se mirent à la recherche des groupes de diversion. On arrêta plusieurs centaines d'hitlériens en civil et ceux qui furent pris les armes à la main furent fusillés. On condamna ainsi 263 personnes. Après la chute de la ville, les hitlériens commencèrent à parler du massacre de la minorité allemande par les Polonais. Plus tard on enterra dans un cimetière spécial... 685 victimes. L'affaire de Bydgoszcz servit de prétexte pour procéder à la liquidation pure et simple des habitants de Bydgoszcz connus pour leur patriotisme, avant tout se recrutant parmi l'intelligence locale. Il est difficile de dire exactement combien de Polonais furent passés par les armes à Bydgoszcz — peut-être 4000 mais certainement plus de 2500. Le crime de Bydgoszcz, premier du genre commis par les hitlériens en Pologne, sert aujourd'hui de fond à un film plein de vérité qui rend hommage aux premières victimes de la barbarie hitlérienne.



Tak wyglądali polscy żołnierze w kampanii wrześniowej 1939 r. Walczyli t



Padły pierwsze strzały. Na opustoszałych ulicach Bydgoszczy znów rozgrywa się tragedia sprzed prawie trzydziestu lat. Z wieży kościoła ewangelickiego strzela hitlerowski karabin maszynowy. Niemiec cywilnie atakują wycofujące się Wojsko Polskie. Żołnierze niezwłocznie przystępują do likwidacji gniazd ogniowych

Krzysztof Litwin gra rolę kaprala batalionu Obrony Narodowej oddziałów, które składały się z rezerwistów



DRAMAT FILMOWY rządzi się własnymi regułami: tworzy go scenarzysta, reżyser, operator, aktorzy. Wspólnie kreślą oni historię jakiegoś wydarzenia. Czy tak właśnie będzie z filmem „Sąsiedzi”, który nakreśla w Bydgoszczy Aleksander Ścibor-Ryński? — Chyba nie. Pochodzący spod Bydgoszczy scenarzysta a zarazem reżyser przede wszystkim korzysta z dramatu, który napisała historia. Ambitnym celem jest odtworzenie atmosfery kampanii wrześniowej 1939. Film ma ukazać prawdę historii i przynieść ją na srebrny ekran. Zasadnicze fakty są znane, choć zarysowanie osobistych dramatów ludzkich na tle wydarzeń 3 i 4 września 1939 r. w Bydgoszczy jest doprawdy bardzo trudnym zadaniem artystycznym.

Działo się to na początku wojny. Uderzenie niemieckich klinów pancernych było potężne. Polskie oddziały wycofywały się w głąb Kraju. Przez Bydgoszcz, miasto o 100.000 mieszkańców, ciągnęły tabory z resztkami sprzętu, wypełnione rannymi z pierwszych bitew. Maszerowały także przez miasto bataliony Obrony Narodowej. Wtedy właśnie z wież, z wysokich gmachów, spośród drzew, z 50 zamaskowanych stanowisk ogniowych padły o godz. 10.20 3 września — strzały. Ogień otworzyła tajna organizacja hitlerowska, która powstała głównie w oparciu o legalnie działające do 1939 r. niemiecką „Jung deutsche Partei” i „Deutsche Vereinigung”.

Oddziały dywersyjne hitlerowców były dość silne. Nawiasem mówiąc, szkolenie wojskowe faszystów niemieckich mających obywatelstwo polskie odbywało się w czasie „wakacji” w Niemczech, w obozach prowadzonych przez NSDAP, SS lub wywiad niemiecki (Abwehra).

W czasie kampanii wrześniowej znaczna ilość „Volksdeutschów” spośród mniejszości niemieckiej w Polsce pokazała, że od lat przygotowywała się do zbrojnej napaści na swych współobywateli. Służyli oni jako szpiegzy III Rzeszy, zwiadowcy, sabotażyści, przewodnicy oddziałów Wehrmachtu — a wreszcie tworzyli zwarte, zbrojne oddziały dywersantów. Najbardziej wyjątkowo wystąpili właśnie w Bydgoszczy, gdzie w ogóle znajdowało się przed 1.IX.1939 r. ok. 15% mniejszości niemieckiej.

Wojsko Polskie oczywiście niezwłocznie przystąpiło do zniszczenia gniazd wrogich karabinów maszynowych. Pomagała w tym stworzona samorzutnie „Straż Obywatelska”, harcerze oraz kilku pozostałych w mieście funkcjonariuszy polskiej Policji Państwowej. Dywersja zbrojna została zdławiona, a przytłaczająca większość napastników uzbrojonych w broń maszynową i granaty poległa. Problem ilości poległych Niemców jest historycznie ciekawy, gdyż w oparciu o wydarzenia 3 i 4 września 1939 r. stworzyła hitlerowska propaganda nie tylko legendę o krwawej „nocy św. Bartłomieja” w Bydgoszczy, lecz także oszukańczą wersję rzekomej eksterminacji ludności niemieckiej w Polsce przed wybuchem wojny i w czasie trwania kampanii wrześniowej.

Z tego, co mówią źródła niemieckie, które trudno posadzać o ograniczanie liczby zabitych, straty ludności niemieckiej w czasie działań wojennych wyniosły łącznie 263 osoby. Wynika to ze spisu sporząd-



Aleksander Scibor-Rylski (reżyser filmu „Sąsiedzi”) pokazuje, jak należy trzymać karabin w gotowości



Tadeusz Malinowski gra rolę odważnego przodownika polskiej policji, który do ostatniej chwili trwa na posterunku w swoim mieście i bierze czynny udział w walce z hitlerowskimi dywersantami

wardo, do ostatniego naboju. Nie poddawali się, póki była jeszcze jakakolwiek szansa nierównej walki

dzionego 13.VI.1941 r. przez chyba kompetentny w tej sprawie okupacyjny, niemiecki urząd stanu cywilnego w Bydgoszczy. Lista obejmowała także Niemców, którzy zginęli od bomb lotniczych swoich rodaków, od ognia artylerii walczących stron itd. Jednakże na specjalnym cmentarzu „honorowym”, urządzonym w Bydgoszczy, hitlerowcy pochowali... 685 osób, rozgłaszając, że wymordowali ich Polacy.

Jak zaś wyglądały późniejsze straty ludności polskiej spowodowane okrutnymi represjami? Już w pierwszych dniach hitlerowcy rozstrzelali, najczęściej publicznie — ok. 400 osób. Taką liczbę okupacyjny nadburmistrz Bydgoszczy Kampe podał już w dniu 9.IX.1939 r. gen. mjr Braemerowi, który był wtedy komendantem 580 strefy tyłów Wehrmachtu. W ciągu kilku następnych tygodni aresztowano wiele tysięcy osób. W czasie jednej z akcji policyjnych w dzielnicy Szwederowo — okragło 2.000 Polaków. W pierwszych dwóch miesiącach okupacji (do 4.XI.39 r.) rozstrzelano bez sądu, według zachowanych źródeł niemieckich, 1.400 osób narodowości polskiej. Celowano przy tym w inteligencję i działaczy robotniczych, co także wynika z zachowanych autentycznych raportów niemieckich. Nie będziemy oczywiście ciągnąć tutaj całej tragicznej listy, ale przypomnieć wypada, że właśnie Bydgoszcz była pierwszym obiektem krwawego i masowego terroru faszystów w Polsce.

Jak było zaś z rzekomo wielkimi stratami Volksdeutsche, których Polacy mieli jakoby zamordować 58 tys. według oficjalnej propagandy hitlerowskiej, a nawet 62.000, jakby wynikało z przemówienia Hitlera w Reichstagu (11.XII.1941 r.)? Zachowała się oryginalna kartoteka tzw. „Centrali Grobów”, którą utworzyli hitlerowcy w Poznaniu dla odszukania wszystkich Volksdeutsche, którzy stracili życie w czasie września 1939 r. Uwzględniając wiele nieścisłości tej dokumentacji — wynika z niej, że maksymalna ilość zmarłych i zabitych Niemców wyniosła na całym terenie Polski 3.315 osób, a 1.796 zaginionych, przy czym z obu pozycji co najmniej tysiąc osób — to żołnierze niemieckiego pochodzenia, powołani do służby w Wojsku Polskim. Kule niemieckie nie odróżniały narodowości żołnierzy... Głębsza analiza danych „Centrali Grobów” dowodzi, że ilość zabitych wśród ludności niemieckiej, co było związane z działalnością dywersyjną, szpiegowską i sabotażową hitlerowców, nie wyniosła więcej niż łącznie 2.000 osób. Przed okupowaniem Polski przez Hitlera według historyka niemieckiej mniejszości w Polsce Theodora Bierschena (wydana w NRF „Die deutsche Volksgruppe in Polen”) zostało zabitych najwyżej 30 do 50 Niemców i to przy przechodzeniu granicy lub stawianiu oporu z bronią w rękę.

Cała sprawa nie warta byłaby dziś przypominania, gdyby nie to, że w zachodnich Niemczech ciągle jeszcze powtarza się oszukańczą legendę hitlerowską o rzekomych masowych mordach Volksdeutsche przed

wybuchem wojny i w czasie kampanii wrześniowej. Różni zachodni Niemcy publicznie uparcie wracają do sfałszowanej, wymyślonej przez hitlerowski Auswärtiges Amt (MSZ) — cyfry 58.000 rzekomo zamordowanych Volksdeutsche. Dlatego cenne jest, że film ukazuje, jak naprawdę było w Bydgoszczy, jak wyglądała sprawa „krwawej niedzieli”.

Dramat tego miasta napisała historia. Choć był to tylko fragment wielkiej tragedii narodu polskiego, właśnie wydarzenia w pomorskim mieście były zapowiedzią krwawego terroru i eksterminacji. Później prawda i dobro zwyciężyły, lzy obeschły, ale jeszcze teraz, gdy kręcono w Bydgoszczy film „Sąsiedzi”, wiele starszych kobiet, pamiętających dobrze tamte dni, miało lzy w oczach...

Jest przy tym ciekawe, że w filmie, w którym gra ponad 100 aktorów, główną rolę dziewczyny niemieckiej powierzono Evelin Opoczyńskiej, aktorce z NRD. Ona i jej niemieccy koledzy przyjęli swoje role po zapoznaniu się ze scenariuszem oraz historyczną dokumentacją. Ich udział w filmie podkreśli realizm sytuacji i prawdę, która wynika z wydarzeń historii.

„Panie, jakby to było wczoraj! Tak, tak, wojsko maszerowało tędy, gdy niemieccy cywile zaczęli strzelać z maszynówek. Nawet z tego właśnie okna, gdzie ich pan reżyser ustawił. I takiego jak pan też widziałam na wozie...” Starsza wiekiem mieszkanka Bydgoszczy dobrze pamięta, jak rozgrywały się wypadki. Późniejsze, krwawe dni represji hitlerowskich, masowego terroru utkwiły w pamięci starszego pokolenia. Dobrze, że film „Sąsiedzi” przypomni młodym, jak kiedyś było, jak wyglądała prawda z września 1939 r.



SYRENA I JEJ BOHATERKA

Dokończenie ze str. 5

Smutna rzeka, księżyc po niej spłynął,
Ciemna noc na liściach kładzie dłoń.
Spij dziecińko, spij żołnierski synu.
Już niedługo obudzimy broni.

Młoda Krahelska była też autorką kilku popularnych pieśni żołnierskiej konspiracji. M.in. na prośbę porucznika Andrzeja Czarnego z kompanii B-2 pułku AK „Baszta” napisała tę oto pieśń:

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga żołnierska przed nami.
W sercu wiara, a w ręce karabin,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Jasny świt się roztoczy, wiatr owieje
nam oczy
i odetchnąć da ptucom i rozgorzeć da
krwi,
I piosenkę, jak tęczę nad nami roztoczy
W równym rytmie marsza: raz, dwa
i trzy!

Hej chłopcy, bagnet na broń!

Spod jej pióra wyszła też inna bardzo dziś popularna w Polsce pieśń partyzancka „Dziś do Ciebie przyjdź nie mogę”.

Krystyna Krahelska miała w konspiracji pseudonim „Danuta”, była sanitariuszką dywizjonu „Jeleń”, którym dowodził rotmistrz Jeżycki (Lech Giuchowski). W czasie powstania dywizjon ten miał za zadanie opanować kompleks budynków w Al. Szucha od strony ulicy Bagatela i Placu Unii Lubelskiej i zdobyć gmach, w którym miał siedzibę wyższy dowódca SS i policji niemieckiej na dystrykt warszawski — SS Brigadeführer i generał-major policji Paul Otto Geibl. Pluton, w skład którego wchodziła „Danuta”, liczący 44 żołnierzy i 3 sanitariuszki (bez noszy) uzbrojony był w 2 pistolety maszynowe, około 10 pistoletów oraz granaty i nożyce do cięcia drutu. Atakował on „Dom Prasy” przy ul. Marszałkowskiej 3/5 w sąsiedztwie placu Unii Lubelskiej.

Oto relacja innej sanitariuszki z tego plutonu o ataku na „Dom Prasy” i o śmierci „Danuty”:

„Granaty wrzucone na podwórze „Nowego Kuriera Warszawskiego” od strony ul. Polnej wybuchły. Dwóch chłopców z pistoletami maszynowymi przecięło siatkę i wskoczyło na pod-

wórze budynku. Od strony Marszałkowskiej dostali silny ogień ciężkich karabinów maszynowych i wyskoczyli z powrotem. Jeden był ranny w głowę i krew zalewała mu twarz. Opatrzyła go na Polu Mokotowskim sanitariuszka „Danuta”. Zdażyła opatrzeć poza tym jeszcze dwóch kolegów. Tymczasem część oddziału przesunęła się w kierunku gmachu straży pożarnej. Zaczęto strzelać do nas stamtąd, jak również i z „Nowego Kuriera Warszawskiego”. Szukaliśmy schronienia koło jakiegoś drewnianego domku na działkach w pobliżu ul. Polnej. Wycofując się potem polem w kierunku Politechniki natknęłam się na ranną Krystynę. Miała 3 kule w prawym płuca, ale ra zewnątrz nie krwawiła. Chcieliśmy ją opatrzeć na miejscu z podchorążym „Wrzosem”. Leżąc obok udało nam się ją obrócić. Strzelano do nas. Świadoma niebezpieczeństwa, jakie nam grozi, mówiła: „Odejdźcie, odsuńcie się, zostawcie mnie”. Chcieliśmy podciągnąć ją bodaj pod osłonę rosnących w pobliżu na działkach słoneczników. „Wrzosa” podniósł się na łokciu i dostał kulę w ucho. Zginął na miejscu. Jeszcze jakiś czas leżałam obok, potem wycofałam się z częścią plutonu w głąb pola, gdzie przeleżaliśmy do zmroku przykryci ruchomym, gwizdającym sufitem pocisków”.

Z innej relacji wiadomo, że Krystyna Krahelską podniósł z pola o godzinie 21 patrol sanitarny z punktu powstańczego na ul. Polnej. Operowano ją w nocy. Zmarła 2 sierpnia nad ranem. Po śmierci odznaczona została Krzyżem Walecznych.

— Krystyna Krahelska twierdziła — opowiada profesor Nitschowa — że tylko pozytywny stosunek do życia daje siłę. Przytoczę jej słowa pochodzące z lat wojennych:

„Nie szukaj dni co odeszły i śladów, co się zatarły na białym śniegu, inne pobiegną dziś rano. I powiedz sam dniom odeszłym, że jutro przyjdzie, będzie piękniejsze od wszystkich minionych...”

Nadeszło piękniejsze jutro, które przewidywała Krystyna Krahelska, ale sama go nie doczekała. Pochowana została na cmentarzu na Służewie. Jej grobem opiekują się warszawscy harcerze.

Takie były losy Syreny i jej bohaterki.

Wanda KRASOWSKA

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)
Siedziba 199, rue de Paris LILLE Tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice ■ swetry

■ bluzki ■ popeliny ■ tergal

PIERZE ■ WSYPY ■ POSZWY ■ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

C'est la vie

100 LAT BEZ LEKARZA

Najstarsza mieszkanka Poznania — Magdalena Obuchowska skończyła ostatnio 108 lat. Sędziwa jubilatka doczekała się 6 dzieci, 15 wnuków i 14 prawnuków... Okazało się, że starszuszka jeszcze nigdy w życiu nie korzystała z pomocy lekarskiej.

„POLSKI HEBAN”

Na odcinku Wisty od Sandomierza do ujścia Sanu pracownicy Okręgowego Zarządu Wodnego rokrocznie zbierają niecodziennie plony. Wylatują z dna Wisły szerniaki, potężne kłose debów, które pozostały tu jako pamiątka sandomierskiej puszczy. Rocznie zbiera się około 300 m sześć. „polskiego hebanu” pozyskiwanego przez pracownie konserwatorskie, meblarskie itp. Przewiduje się, że jeszcze większe zwaliska szerniaki debów znajdują się na dnie dolnego Sanu.

NIEDZWIĘDZ NA LAWIE
OSKARŻONYCH!

Niecodzienna rozprawa odbyła się przed sądem w Bielsku-Białej. Pośrednio oskarżonym był beskidzki niedźwiędz „Puchatek”, a bezpośrednio dyrekcja Okręgowa lasów państwowych w Katowicach. Niesforny „Puchatek” zawadził sobie kiedyś na pole Pawła Kubacka i zabił owcę. Kiedy zaś przeciwko niedźwiędziowi wystąpił gospodarz, „Puchatek” unieszkodliwił go łamiąc mu rękę. Wyrokiem sądu dyrekcja lasów zapłaci P. Kubackowi odszkodowanie w wysokości 23.122 zł oraz pokryje koszty procesu. Warto dodać, że jeszcze przed procesem „Puchatek” uciekł z Kraju, udając się na letnią wędrowkę po Słowacji.

LISTY Z KOLONII

„...kapał się już w morzu. Pilnowała nas pani Wandzia i bardzo się bala. Cagle mówiła — dzieci, tylko do boli! A ja się wcale nie bałam...”

„...jem tu wszystko co dają, bo pani wychowawczyni wciąż powtarza, niech wszystkie dzieci ją. Jak

przyjadę utyty, to wcale mnie nie poznacie...”

„...co rano na apelu pan instruktor nam mówił, jak rozkłada się dzień, potem pochwałał grzesznych i poganiał łobuziaków.”

„...byliśmy też całą kolonią w Oliwie. Tam jest zoo jak we Wrocławiu i małpy, a jedna najmłodsza nazywa się Jacek. Ta małpa Jacek jest podobna do koguta, bo pieje...”

8 GODZIN NA DRZEWIE!

16-letni Edward Korus z Siemianowic natknął się podczas samotnej wędrowki turystycznej na stokach Babiej Góry na rodzinne stadko dzików. Zaatakowany przez maciorę, wdrapał się na najbliższe drzewo i przesiedział na nim 8 godzin, nim zwierz spłoszony przez grupę turystów zrezygnował z oblężenia.

NIECODZIENNA ROZPRAWA

Na Opolszczyźnie zakończyła się niezwykła rozprawa, mająca na celu zwrot rodzicom ich własnych — zamienionych przed 30 miesiącami — dzieci. Na skutek niedbalstwa w jednej z izb porodowych, pow. grodzkiego, urodzone w jednym dniu dziewczynki zamieniono i przez 2,5 roku Jadzia i Mariola przebywały u swoich rodziców. Sprawa zakończyła się dopiero wyrokiem Sądu Najwyższego. Obecnie dziewczynki przebywają już u swoich rodziców. Skłócone przez długie miesiące małżeństwa żyją obecnie w przyjaźni, a dzieci zwracają się do swoich „okresowych” rodziców per „ciociu” i „wujku”.

CMENTARZYSKO MAMUTÓW

Ekipy prowadzące prace porządkowe przy zagospodarowywaniu rejonu Kopca Kościuszki w Krakowie, natrafili na duże cmentarzyisko mamutów. Jest to jedyne tego rodzaju znalezione w Polsce i jedno z trzech tego rodzaju w Europie.

SERCE KRÓLA

Dokończenie ze str. 11

POD GROZĄ DZIAŁ twierdzy Tour de Bouc Jan Kazimierz musiał opuścić pokład „Diany” i udać się pod strażą na ląd. Nie osadzono go jednakże w ponurym zamku d'If, ponieważ z interwencją na rzecz polskiego królewicza wystąpił arcybiskup Marsylii. Zamiast na wyspie w ponurych kazamatkach zamku d'If, uwięziono niedoświadczonego admirała wielkiej armady hiszpańskiej w biskupim pałacu w Salon, a potem w Sистерonie. Richelieu jednak, bojąc się, aby nie zorganizowano królewiczowi ucieczki, kazał go przewieźć do Paryża do zamku Vincennes i tu toczyły się układy z królem Polski o uwolnienie brata.

Dopiero w roku 1640, a zatem w dwa lata po uwolnieniu, Jan Kazimierz odzyskał upragnioną wolność, a potem stał się nawet wiernym sojusznikiem Francji, zwłaszcza w dobrej swego panowania (1648—1668). Przedtem, nim został królem, zakosztował życia zakonnego, ale po dwóch latach obrzydło mu to monotonne i klasztorne bytowanie i wszczął starania o kapelusze kardynalski.

Otrzymał go, ale wyrzekł się tej godności również dla objęcia korony po bracie. Jednak i wówczas fatum, które mu w życiu towarzyszyło, nie odstąpiło go na moment. Całe jego 20-letnie rządy to jedna wielka klęska Kraju. Powstania na Ukrainie, najazd Szwedów i rokosz Lubomir-

skiego — oto kolejne trzy wielkie etapy stopniowego upadku państwa pod jego rządami.

Zonaty z wdową po bracie Marią Gonzagą, ulegał całkowicie jej wpływowi, burząc przeciw sobie szlachtę i senatorów. Po śmierci żony, głęboko dotknięty jej stratą, Jan Kazimierz postanowił zrzec się tronu. Jedyny ten w polskich tysiącletnich dziejach wypadek abdykacji poświadczający za sobą dalszy kryzys państwa.

Za cenę 150.000 liwrow, jakie mu Ludwik XIV ofiarował na dobrach siedmiu opactw francuskich, obiecał Jan Kazimierz popierać w przyszłej elekcji kandydata francuskiego. Król jednak, oddalony od szlachty i narodu, miał wpływy minimalne. Przyszła elekcja wyniosła na tron Polski Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Jan Kazimierz wyjechał do Francji, aby osiąść na stałe w paryskim opactwie Saint Germain des Prés.

TUTAJ ŻYŁ jeszcze lat kilka, opuszczony i zapomniany przez wszystkich, ale marzący o tym wszystkim, co utracił. Zył myślą o Polsce, swej ojczyźnie, której największą klęskę — rozbiory — tak wieszczę przepowiedział na owym pamiętnym ostatnim swym sejmie pożegnalnym. Daremnie niektórzy z posłów i senatorów na kolana błagali go o zmianę decyzji. Król, tak dotychczas nieślący w swym postępowaniu, pozostał nieugięty w swym zamiarze.

Z dała, w Paryżu, śledził tok wydarzeń w Polsce i kiedy w roku 1673 dotarła do niego wieść, że Turcy zagarnęli Kamieniec, mocno schorowany był władca Polski napisał ostatni już w swym

życiu list, błagający papieża o pomoc. Te słowa, pięknym piśmem i stylem wyrażone, dziś jeszcze robią na każdym Polaku wielkie wrażenie. Można je porównać jedynie z gorzkimi myślami, jakich tak wiele znaleźć można w pamiętniku Stanisława Augusta Poniatowskiego. Obaj bowiem należą do najtragiczniejszych królów w polskich dziejach.

Schorowane serce Jana Kazimierza nie wytrzymało coraz to bardziej tragicznych wieści napływających z dalekiej Polski, którą zalewała armia turecka. Nadszedł dzień 16 grudnia 1672 roku i serce króla-tulacza na zawsze bić przestało. Pochowano go w opactwie Saint Germain des Prés. W kilka lat potem jednak, zgodnie z wolą zmarłego, przewieziono doczesne szczątki do Krakowa i tam pochowano go uroczysto w krypcie królewskiej na Wawelu. Jednakże i te doczesne szczątki nie zerwały całkowicie z drugą przybraną ojczyzną. W tak przykry sposób zawiązana pierwsza znajomość królewicza z Francją okazała się trwałą aż poza grób, bo oto w swym przedśmiertnym życzeniu Jan Kazimierz prosił, by ciało jego złożone obok zwłok ojca i brata, a serce — to serce, co tak Francji było bliskie, spoczęło na zawsze w krypcie kościoła Saint Germain des Prés.

Dziś każdy, kto pragnie znaleźć choć kilka chwil ciszy i spokoju na tej tak pełnej życia paryskiej ulicy, może wstąpić do kościoła, którym przed wiekami nasz król zarządzał, i tam w skupieniu i ciszy patrząc na wspaniałe nagrobek Jana Kazimierza może podumać o dziwnych ludzkich losach i w tym prochu królewskiego serca znaleźć symbol braterstwa dwóch narodów Europy.

Zygmunt BORAS

A prendre et à laisser

TOUJOURS PLUS BELLE

Cette année la Pologne fêtera plusieurs grandes dates de son histoire contemporaine — le cinquantenaire de la II République, celui de la création du premier parti communiste, le vingt-cinquième anniversaire de la formation de l'armée du peuple qui, seule armée allié, atteint aux côtés de l'Armée soviétique l'ancre de la bête hitlérienne, le vingtième anniversaire de la victoire de l'unité ouvrière qui permit la réalisation de cette grande aventure humaine qui s'appelle le socialisme. Mais parallèlement à ces festivités solennelles, les Varsoviens vont tous les jours, comme cela depuis bientôt un quart siècle, fêter à chaque pas, à chaque moment la joie de vivre dans une ville qui après avoir été condamnée à mort à perpétuité par le plus lâche et le plus sanglant des ennemis, est redevenue la capitale d'une nation bien vivante, hier connue pour son courage sans borne, aujourd'hui admirée pour son esprit de sacrifice et son ardeur au travail.

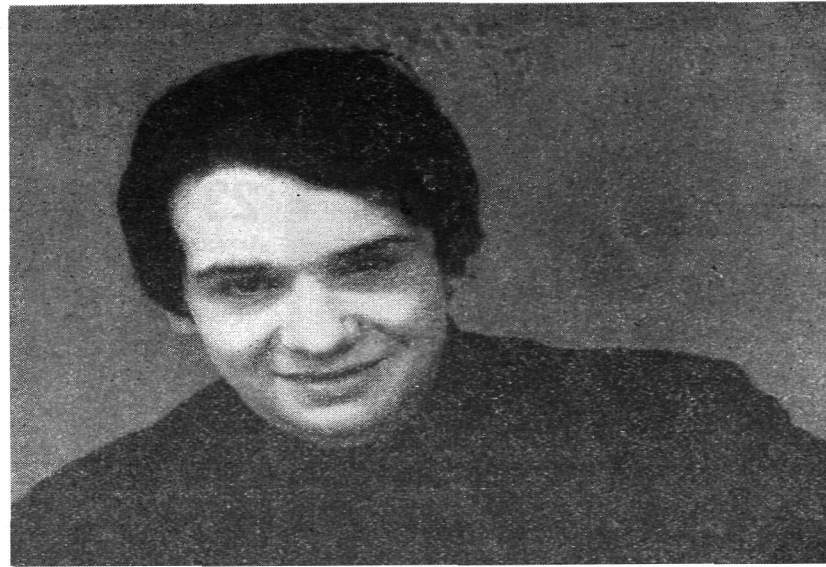
Je ne sais si tous nos lecteurs ont vu le magnifique film intitulé „Varsovie quand même”. Cette série d'images, qui fit juste après la guerre le tour du monde et permit de se faire une idée de la tragédie dont Varsovie fut la victime, appartient aujourd'hui à l'histoire. Elle faisait déjà partie de celle-ci quelques cinq après car les Varsoviens, aidés par toute la nation, ont rebâti leur cité à une vitesse record. La résurrection de la capitale polonaise, qui ne doit rien au miracle mais tout au labeur de tous les Polonais, est tellement extraordinaire que nombreux sont ceux qui visitant la ville ne peuvent réaliser l'étendue du drame et l'effort inouï figés dans la pierre et l'acier qui donnent à Varsovie le visage souriant qu'elle a aujourd'hui. C'est pour cela que je me permets de rappeler certains faits et certains chiffres. Ainsi Varsovie est la seule capitale européenne ayant à l'heure actuelle une population moins grande que celle d'avant la guerre — en 1939 elle comptait 1 300 000 habitants pour 1 280 000 aujourd'hui. Il fut une époque, qui ne dura que quelques mois, où les pouvoirs envisageaient le transfert de la capitale de la Pologne vers une autre ville moins détruite (on parla de Cracovie et de Łódź), car d'après les cal-

culs des spécialistes il aurait fallu cinquante ans pour déblayer toutes les ruines. Ce plan fut heureusement rejeté et aujourd'hui, quand on veut tourner un film sur l'après-guerre, on construit des ruines en bois et en carton (un journaliste varsovien écrivait il y a quelques années de cela qu'on aurait dû conserver les ruines d'un bâtiment quelconque en tant que monument des temps passés — c'est, je crois, ce qui a été fait à Stalingrad).

Grâce à une conception audacieuse de l'avenir la capitale de la Pologne d'aujourd'hui ne ressemble en rien à la Varsovie d'hier. Détruite à 85 pour cent on est reparti de zéro ou presque. Cela a permis de voir grand et de prendre en considération les intérêts des habitants d'aujourd'hui et de demain. C'est ainsi qu'à l'heure actuelle 7 logements sur 10 ont le chauffage central contre 7 pour cent avant la guerre (les 3 logements sans chauffage central sont en général situés dans les quartiers de Praga qui en raison de l'offensive de l'Armée rouge n'ont pu être systématiquement rasés par les hitlériens). Varsovie, avec ses larges artères, ses squares, parcs et jardins baigne dans un air relativement pur, ce qui se sent quand on arrive de Paris ou de Londres. Ces larges rues permettent une circulation rapide, cependant on prévoit pour 1985 deux lignes de métro car les tramways risquent de gêner les automobiles, dont le nombre atteindra d'ici là 200 voitures pour 100 habitants.

Mais c'est dans le domaine de la construction des maisons d'habitation que l'on se rend le mieux compte de l'effort et du caractère grandiose de ce qui a été fait jusqu'ici. En 1939 Varsovie comptait près de 600 000 pièces pour 284 000 logements; en 1945, c'est-à-dire au moment de la libération entière de la ville, il n'y avait plus que 87 000 appartements et 160 000 pièces. Aujourd'hui il y a 900 000 pièces, c'est-à-dire que les conditions d'existence se sont améliorées de plus de cinquante pour cent. Et cette Varsovie toujours plus belle, qui s'est humanisée, a pu voir le jour grâce au travail de tous. Rien d'étonnant donc que pour ses habitants Varsovie est une fête permanente.

GAL



Les chanteurs chez nous

MICHEL SARDOU

— Son grand-père avait monté un numéro comique avec RAIMU.

— Sa grand-mère était danseuse au Moulin-Rouge.

— Sa mère a commencé par naitre dans les coulisses du Concert Mayol, puis a été danseuse et comédienne.

— Son père s'appelle Fernand SARDOU.

— Marié à une danseuse Française, MICHEL SARDOU entend bien perpétuer la tradition familiale: après avoir préparé le Conservatoire il a fait ses débuts sur scène du cabaret montmartrois que dirigeait son père.

— „Je jouais des sketches dans une revue, de petits trucs... Je chantais des textes satiriques écrits par mon père, des parodies d'Aznavour et de Piaf”.

— „Papa est très gentil et très patient comme directeur. Il m'a proposé de commencer chez lui, pour me mettre en contact avec le public. Il me présentait pas trop sérieusement; comme le „fils de la maison”.

Tout en jouant, Michel SARDOU écrivait ses premières chansons. Cela ne l'empêchait pas d'être très attentif à la présence sur scène d'une ravissante partenaire: il a épousé Française lorsque la revue a pris fin.

Devenu interprète, „avec des chansons pas yé yé, mais qui balancent”, Michel SARDOU compose et répète ses chansons dans un immeuble de Montmartre. Au grand dam de ses voisins:

— „Je travaille avec une guitare dont je joue très mal, sur deux cordes. Les gens deviennent fous...”

Précisons que le jeune chanteur n'est pas spécialement sportif („j'aime le sport à la télé”), qu'il conduit très mal sa voiture:

— „Elle est lamentable, cette auto... Je la conduis lentement, mais ça n'arrange rien: dès que je dépasse le quarante, il faut huit jours de garage”.

A défaut de courir des rallyes, Michel SARDOU fait du cinéma:

— „De la très bonne figuration! Un passant qui passe dans „La lit à deux places” et un résistant qui meurt à peine apparue dans „Paris brule-t-il”...”.

● NOUVELLES ECLAIR ●

▲ L'entreprise de commerce extérieur „Centrozap” de Katowice en Silésie vient de signer avec la „Società Italiana Impianti” de Gènes un contrat pour la livraison d'une usine d'oxyde de zinc d'une valeur d'environ 2 millions de dollars.

▲ Le sénateur belge Jean Dubucquoy, président des Amitiés polono-belges, a fait un séjour en Pologne qui a duré près de deux semaines.

▲ Cracovie va bientôt avoir un nouveau musée — celui de l'Imprimerie et de la Presse. Il a été créé sur l'initiative du Musée Historique de la ville de Cracovie, des journalistes de l'endroit et des typographes de la cité polonaise où parut le premier périodique de Pologne.

▲ Un groupe d'hommes-grenouilles de Varsovie a découvert au fond du lac Głębokki près de Toruń les restes d'une cité lacustre qui date d'au moins 1500 ans. Des recherches à caractère scientifique sont actuellement entreprises.

▲ A partir de juillet 280 stations de pompes à essence situées à travers toute la Pologne vendent des produits

pour automobiles en provenance des usines „Shell”, „Mobil” et „Castrol”. Cette initiative a pour but de faciliter les voyages touristiques des automobilistes en Pologne.

▲ La Basse-Silésie compte actuellement 2 millions d'habitants (2,5 millions avec Wrocław). La moyenne d'âge de la population de cette région est de 28 ans.

▲ Les chimistes polonais de l'Institut de Chimie de Gliwice ont remporté un succès important au Canada. Malgré une forte concurrence internationale, ils ont signé un accord avec une firme du Saskatchewan pour la transformation des minerais de potasse.

▲ Le médecin polonais Stanisław Barański, spécialiste dans la domaine de la médecine de l'aviation a été élu vice-président de l'Institut International de la Médecine de l'aviation dont le siège est à Bruxelles.

▲ La seconde Campagne Internationale des Musées, organisée sous les auspices de l'UNESCO, a pris fin d'une manière solennelle à Slupsk en Pologne. Au cours de cette campagne on a organisé 150

expositions ainsi que 20 conférences scientifiques dont le but était de populariser les musées parmi la société.

Archiwum polsko-francuskie

POLSCY PREKURSORZY ANDRE MALRAUX

Dorobek wielkiego francuskiego pisarza André Malraux (który od szeregu lat jest ministrem Spraw Kulturalnych), autora m.in. „Doli człowieczej”, „Drogi królewskiej”, „Czasów pogardy”, „Nadziei”, „Głosów milczenia” itd., jest w Polsce od wielu już lat przedmiotem wielu bardzo ciekawych interpretacji. Pisarstwo Malraux zestawiane było przez polskich krytyków z twórczością wybitnego angielskiego powieściopisarza pochodzenia polskiego — Josepha Conrada (Korzeniowski). Polscy znawcy dzieła Malraux wskazywali już także na fakt, że istnieje w literaturze polskiej zdumiewająco dokładny odpowiednik powieściowego dorobku autora „Les Voix du Silence” — mianowicie powieść Stanisława Brzozowskiego p.t. „Płomienie”.

Stanisław Brzozowski (1878—1911), stanowi jedną z najbardziej skomplikowanych postaci literatury polskiej. Był to pisarz o niezwykłej wprost skali zainteresowań. W ciągu swojej dziesięcioletniej zaledwie działalności literackiej zapoznał czytelnika polskiego z myślą i kulturą europejską od romantyzmu do początków XX wieku, omawiając w swych pracach bardziej i mniej znane dzieła literackie i filozoficzne pisarzy polskich, rosyjskich, niemieckich, francuskich, angielskich i włoskich.

„Płomienie” napisał w r. 1908. Akcja tej powieści rozgrywa się w siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Terenem akcji jest przeważnie Rosja — w pierwszej części także Szwajcaria, Francja i Włochy. Treścią — działalność rewolucjonistów rosyjskich lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia. W „Płomieniach” podniesione zostały dokładnie te same problemy co w głównych powieściach Malraux. Jako że pierwsza z wielkich powieści Malraux — „Les Conquérants” („Zdobywcy”), ukazała się w r. 1928, można powiedzieć, że autor „Płomieni” wyprzedził francuskiego pisarza o dwadzieścia lat.

Ostatnio postawę autora „Les Conquérants” zestawiał z doświadczeniami polskimi powieściopisarz Witold Zalewski. Zalewski opublikował niedawno temu książkę p.t. „Odmiany nadziei”. Na książkę tę składają się m.in. szkice o twórczości trzech wybitnych francuskich prozaików — Alberta Camus, Antoine de Saint-Exupéry i André Malraux. Jeśli idzie o uwagę Zalewskiego o twórczości Malraux, to uwydatniają one m.in. zaskakujące pokrewieństwo Malraux z wielkimi polskimi poetami romantycznymi — Mickiewiczem i Krasińskim.

Udział polskiej ekipy narodowej w olimpiadach (5)

W TOKIO-DESZCZ MEDALI

23 medale, w tym aż 7 złotych — taki był plon startu olimpijskiej reprezentacji Polski na XVIII Igrzyskach Olimpijskich w Tokio w roku 1964. W klasyfikacji medalowej (pierwsze trzy miejsca) POLSKA zajęła siódme miejsce, a w klasyfikacji punktowej (również miejsca od 4 do 6 w każdej dyscyplinie sportu) pozycję siódmą wśród 94 ekip narodowych! Francja zajęła 12 miejsce, a Belgia — 23.

Spodziewano się dobrej postawy polskiej ekipy, ale o tak wielkim sukcesie nikt nie myślał. W skład ekipy wchodziły 144 osoby (83 startowały po raz pierwszy). Wybór dyscyplin (Polacy startowali w 12 konkurencjach) i zawodników okazał się słuszny. Prawie nikt nie zawiódł pokładanych nadziei. Wszędzie mówiono o Polakach. Na całym świecie komentowano ich zdumiewającą postawę i doskonałe wyniki.

Młodzi polscy sportowcy byli auto-

rami największych olimpijskich niespodzianek. Do największych sensacji należało zdobycie przez Polskę złotego medalu w sztafecie 4 × 100 metrów kobiet i ustanowienie świetnego rekordu świata — 43,6 sek! Był to wielki bieg i największy triumf polskiej lekkoatletyki. Największą niespodzianką natomiast było wywalczenie złotego medalu w indywidualnym turnieju florecistów przez Polaka Egonę FRANKĘ (pokonał dwóch faworytów Francuzów: Magnana i Revenu).

Wielki sukces odniosła w Tokio znakomita młoda (wówczas 18-letnia) lekkoatletka Irena KIRSZENSTEIN (obecnie Szewińska), której nazwisko nie schodziło od czterech lat ze szpał światowej prasy sportowej. Zdobyła złoty medal (w sztafecie 4 × 100 m) oraz dwa srebrne medale: na dystansie 200 metrów i w skoku w dal. Inne złote medalistki biegu sztafetowego również spisały się doskonale: Teresa CIEPŁA zdobyła medal srebrny w biegu na 80 metrów przez płotki, a Ewa KŁOBUKOWSKA — brązowy medal na dystansie 100 metrów. W ten sposób Polki złamały prymat czarnych sprinterek.

Jeszcze większą niespodzianką, zupełnie nie oczekiwaną sprawili polscy sprinterzy. W sztafecie 4 × 100 metrów wywalczyli w porwującym pojedynku srebrny medal (39,3 sek), o centymetry wyprzedzając sztafetę Francuzów. Wiesław MANIAK atakował pozycję medalową na 100 metrów (zajął czwarte miejsce i zyskał tytuł najszybszego białego człowieka Olimpiady), a Marian FOIK był szósty w silnie obsadzonym biegu na 200 metrów.

Złoty medal w imponującym stylu zdobył rekordzista świata w trójskoku Józef SZMIDT (już po raz drugi). Stał on na starcie po ciężkiej operacji kolana, a jednak wygrał konkurencję i ustanowił rekord olimpijski (16,85 m). Kolejny złoty medal wywalczył świetny ciężarowiec Waldemar BASZANOWSKI. Kolekcje złotych medali uzupełnili trzej bokserzy: Józef GRUDZIEŃ, Jerzy KULEJ i Marian KASPRZYK. Ich zwycięstwa odniesione były w sposób zdecydowany.

Poza wymienionymi już zdobywcami srebrnych medali, na listę srebrnych medalistów wpisali się: bokser Artur OLECH i drużyna florecistów (Egon FRANKĘ, Ryszard PARULSKI, Janusz ROŻYCKI, Zbigniew SKRUDLIK i Witold WOYDA). Natomiast kolekcję brązowych medali (w sumie aż 10) uzupełnili bokserzy: Józef GRZESIAK, Tadeusz WALASEK i Zbigniew PIETRZYKOWSKI, ciężarowcy Mieczysław NOWAK, Marian ZIELIŃSKI i Ireneusz PALIŃSKI oraz drużyna szablistów (Emil OCHYRA, Jerzy PAWŁOWSKI, Andrzej PIĄTKOWSKI, Wojciech ZABŁOCKI, Ryszard ZUB).

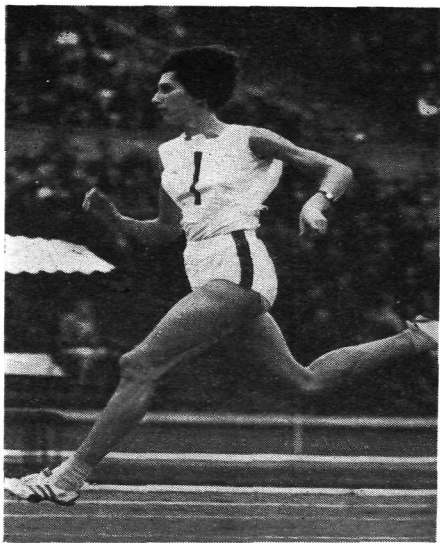
Brązowy medal, bez przesady — na wagę medalu złotego zdobył Andrzej BADENSKI. Nieoczekiwanie na dystansie 400 metrów pokonał wielu doskonałych biegaczy i faworytów tego biegu. Brązowy medal wywalczyły też w pięknym stylu polskie siatkarki. Był to 23 medal uzyskany dla Polski na Olimpiadzie w Tokio. Rekord z Rzymu (1960 rok) gdzie polska ekipa zdobyła 21 medali, został pobity!

POLSCY LEKKOATLECI NA AKLIMATYZACJI W FONT-ROMEU

Tym razem generalnym egzaminatorem olimpijskich kwalifikacji polskich lekkoatletów będą krajowe zawody najwyższej rangi. Mianowicie centralne, indywidualne mistrzostwa Polski, które rozegrane zostaną w dniach 12—15 września w Zielonej Górze. Ustalono już, że reprezentacja uda się na krótki aklimatyzacyjny obóz do Francji, do Font-Romeu, miejscowości świetnie przystosowanej do wysokogórskiego treningu lekkoatletycznego, skąd zawodnicy odlecą via Marsylia do Meksyku.

Po dość bogatym tegorocznym programie imprez i meczów międzypaństwowych zawody w Zielonej Górze będą miały charakter jakby elimina-

cyjny. Należy żałować, że nie zostało to ściśle ustalone, że nie ma absolutnie obowiązującej zależności między wynikiem uzyskanym na mistrzostwach Polski a wyznaczeniem do olimpijskiej reprezentacji. Impreza w Zielonej Górze będzie miała jednak poważne znaczenie dla ostatecznego ustalenia ekipy, nie będąc nawet oficjalną eliminacją. W każdym razie w chwili obecnej istnieje warunek obowiązkowego startu w mistrzostwach wszystkich lekkoatletów należących do kadry olimpijskiej. W ten sposób doczekaliśmy się wreszcie prawdziwie ciekawych krajowych mistrzostw. Miejmy nadzieję — z pełną obsadą ekstraklasy. (et)



Wielka gwiazda światowej lekkoatletyki Irena Kirszenstein (Szewińska) na Olimpiadzie w Tokio rozpoczęła serię triumfów. Zdobyła dla barw Polski aż trzy medale olimpijskie

ANDRZEJ STALMACH w „rodzinie ośmiometrowców”

lepsze osiągnięcie zawodów, wygranych przez Polskę nie najłatwiej (po pierwszym dniu prowadzili Włosi) 117 : 113 punktów.

Skok w dal wkroczył zatem w kraj w nową „8-metrową erę”. Niestety Stalmach nie ma w tej chwili godnej siebie, groźnej krajowej konkurencji. Od roku 1964 ma rekord Polski (7,96) i patent najlepszego skoczka. Teraz przeszedł do superświatowej klasy „ośmiometrowców”.

W Polsce — pierwszy rekord notują kroniki z 1919 roku. Na liście oficjalnych rekordzistów figuruje Tadeusz Gorczyński z lwowskiej Pogoni z wynikiem 6,35. Warto przypomnieć, że w tym czasie we Francji rekord należący do Puncet'a wynosił 7,06. A więc polskie początki nie były imponujące.

Najlepszy wynik przedwojenny wyniósł 7,38, należał do Zdzisława Nowaka i został ustanowiony, podobnie jak obecnie rekord Stalmacha, podczas meczu z Włochami w 1934 r. Wynik Nowaka poprawił po wojnie w 1949 r. Edward Adamczyk z Poznania. Następnie rozpoczął swe królowanie w tej konkurencji Henryk Grabowski z Warszawy i poprawiając systematycznie rekordy doszedł do pięknego rezultatu 7,81 (w 1958 r.). Następnym rekordzistą był Kazimierz Kropidłowski z Sopot, wynikiem 7,82 m, a później (w 1963 r.) Józef Szmidt z Zabrza — 7,84.

Wracając jeszcze do porównań w tej dziedzinie polsko-francuskich — warto wspomnieć, że najlepszy od szeregu lat skoczek Francji Jack Pauli znowu pobił rekord skoku w dal uzyskując 8,08. W ogóle ostatnie wyniki lekkoatletów francuskich wykazują ogromną wyższość formy. Francja, która dotychczas nie była dla Polski w tej dyscyplinie groźną przeciwniczką, obecnie mogłaby przelatać złą dla siebie statystykę bardzo zresztą rzadkich meczów z Polską. (et)

Wszelkie sportowe imprezy ekstraklasy oceniane są dziś przez pryzmat zbliżających się igrzysk olimpijskich w Meksyku. Dlatego też wspaniałe rezultaty Andrzeja Stalmacha w skoku w dal — 8,11 m — przyjęły zostały w Kraju radośnie i z wielkimi nadziejami. Wprawdzie wyniki ponad osiem metrów nie są już tak wielką rewelacją jak kilka lat temu, ale skokiem około 8,10 m — jak wykazuje światowa praktyka lekkoatletyczna — można jeszcze wygrać najpoważniejsze nawet zawody. 28-letni wychowanek Górnika-Zabrze, Stalmach, ustanowił ten nowy rekord Polski podczas meczu między państwowego z Włochami. Było to naj-

JAK BĘDZIE W MEXYKU

Wszyscy się nad tym głowią. Nie tylko w Polsce, oczywiście. Meksyk ma dodatkowy współczynnik trudności w postaci bardzo specjalnych warunków klimatycznych. Która drużyna będzie lepiej zaaklimatyzowana, ta niewątpliwie będzie miała więcej szans na zdobycie medali.

W polskiej działalności przedolimpijskiej ogromną rolę, gdy chodzi o aklimatyzację, odgrywa doświadczenia i pewnego rodzaju pomoc sportu francuskiego. Francja, najlepiej i najdokładniej zapoznała się z warunkami i możliwościami startu w Meksyku. Szereg polskich zawodników i całych zespołów przygotowywało się już kilkakrotnie w wysokogórskich terenach sportowych we Francji. Ostatnie obozy reprezentacji Polski organizowane są we francuskich miejscowościach wysokogórskich. Stamtąd bezpośrednio odleca do Meksyku polskie ekipy.

Pewnego rodzaju miarą możliwości jest historia dotychczasowych Igrzysk. Czy jednak na tej podstawie można wyciągać wnioski przed Meksykiem? Nikt tego nie rozstrzygnie przed faktem dokonany. Chwilowo polski bilans olimpijski przedstawia się wcale nieźle i wskazuje, że każda kolejna Olimpiada przynosi więcej medali i lepszą nieoficjalną punktację.

Oczywiście trzeba też wspomnieć i o tych zawodnikach, którzy zajęli cenne dla ogólnego bilansu punktowane miejsca. Czwarte miejsca w swoich konkurencjach wywalczyli (poza już wymienionym Maniakiem), oszczepnik Janusz SIDŁO, ciężarowcy Jerzy KACZKOWSKI i Henryk TREBICKI oraz zapaśnik Bolesław DUBICKI.

Pięte miejsca zajęli: kolarze Zbysław ZAJĄC (sprint), Lucjan JOZEFOWICZ (4000 m), strzelec Jerzy NOWICKI, szpadzista Bogdan GONSIOR, szablista Emil OCHYRA i drużyna szpadzistów. Wreszcie szóste miejsca zajęli (poza wymienionym już Foikiem) średniostansowiec Witold BARAN, dyskobol Zenon BEGIER, i sztafeta 4 × 400 metrów, a wśród kobiet Barbara SOBOTTOWA na 200 metrów i Maria PIĄTKOWSKA na 80 m przez płotki, a także wioślarze dwójka ze sternikiem i czwórka ze sternikiem oraz drużyna męska koszykówki.

☆

Polska w nieoficjalnej punktacji zebrała 151,5 pkt. plasując się na VII miejscu wśród czołowych potęg sportowych świata. O wartości polskiej ekipy w Tokio jeszcze dobitniej świadczył stosunek liczby zawodników do liczby zdobytych medali i sumy punktów. W takim zestawieniu Polska ekipa zajęła trzecie miejsce! To było najlepsze świadectwo wartości polskich sportowców.

Olimpijski start w Tokio był największym w dziejach polskiego sportu sukcesem i odbił się szerokim echem na całym świecie.

ZMARŁ JAN ŁAZARSKI

W Krakowie zmarł w wieku 70 lat wielokrotny mistrz Polski w kolarstwie, jeden z najstarszych polskich olimpijczyków — Jan ŁazarSKI. Reprezentował on barwy Polski na Olimpiadzie w Paryżu w roku 1924, startując w drużynie, która zdobyła srebrny medal.

☆

Taki oto kolejny smutny komunikat prasowy o bezpowrotnej stracie jeszcze jednego wielkiego sportowca, trenera, działacza ze starej kadry.

Jan ŁazarSKI... przypominają mi się dzieje polskiego kolarstwa lat dwudziestych. Boje sprinterów Stankiewiczza, Szymczyka, Łazarzkiego na warszawskich Dynasach.

Największym sukcesem Łazarzkiego był srebrny medal olimpijski w 1924 roku za II miejsce w wyścigu drużynowym na dystansie 4 tys. km. Wywalczył ten ogromny sukces wspólnie z Szymczykiem, Stankiewiczem i Langem. Rozmawiałem z inż. Szymczykiem, który cieszy się doskonałym zdrowiem i codziennie rano jeździ po sprawunki rowerem. Mówił mi wiele o Łazarzskim:

— To był niezwykle ambitny sportowiec. Mawiano o nim, że urodził się na rowerze. Walczyliśmy z sobą przez wiele lat i często przewaga nad nim nie była większa niż „guma”. Jan był nie tylko wielkim kolarzem, ale wytrawnym trenerem, a przede wszystkim prawdziwym społecznym działaczem.



Adam KRÓLIKIEWICZ

olimpijczyk

ZŁOTA PAPIEROŚNICA DLA HUBALA

OD WIELU lat w ogromnej hali sportowej „Olympia” w Londynie odbywają się pokazy jeździeckie i wystawy koni. Rokrocznie impreza ta jest przeglądem wspaniałej hodowli konia angielskiego różnych ras i przeznaczenia, od roboczych ciężkich, piwowarskich począwszy do najbardziej luksusowych wierzchowych, zaprzęgowych i wszelkiego typu sportowych. Jednocześnie w godzinach popołudniowych i wieczornych odbywają się tam wielkie międzynarodowe zawody konne, konkursy ujeżdżania i skoków przez przeszkody.

„Olympia” jest znanym, obszernym budynkiem, w którym — podobnie jak w nowojorskim słynnym „Madison Square Garden” — mieści się dość znacznych rozmiarów arena z widownią na około 15.000 miejsc. W ogólnym korytarzu znajdują się dwie duże restauracje, filie pierwszorzędnych sklepów, wystaw i magazynów. Ponadto można tam pomieścić w wygodnych bokсах około 100 koni. Jest też robocza ujeżdżalnia, ambulans pogotowia sanitarnego i weterynaryjny. Wszystko pod jednym dachem, stanowi całość olbrzymiego budynku imponującego i bogato wyposażonego.

W takich to nowych dla nas, sztucznych, cyrkowych niejako warunkach, w obecności elity Londynu pasjonującej się koniem i sportem jeździeckim, przy odpowiednio stonowanym świetle elektrycznych lamp, wspaniałej dekoracji wnętrza hali gazonami wonnych, różnobarwnych kwiatów — startowaliśmy kilkakrotnie w londyńskich międzynarodowych zawodach konnych w latach 1925—1927, reprezentując z dużym powodzeniem polskie barwy narodowe.

Byliśmy wtedy w Anglii pierwszymi jaskółkami polskiego jeździectwa, ambasadorami naszego młodego sportu konnego, ale odosiliśmy niekiedy wrażenie, jakby nas tam w ogóle nie dostrzegano. Nie biorąc sobie tego do serca, postanowiliśmy nasze skromne konie i siebie zaprezentować z jak najlepszej strony. Udane polskie starty w londyńskiej „Olimpii” i poza nią — były jednak dla zbyt pewnych siebie obywateli Albionu dużym zaskoczeniem.

Ktoregoś dnia, po kilku już rozegranych konkursach, byliśmy bardzo bliscy wygrania najważniejszej zespołowej nagrody — Pucharu Narodów. Widomą przynętą, dopingującą zawodników i widzów, był między innymi umieszczony na wystawie złoty, wspaniały puchar księcia Walii — najbardziej zaszczytna, prestiżowa nagroda. Już od szeregu dni wszystkie ekipy ostrzyły sobie i swe konie na jej zdobycie.

O wyniku miała decydować najmniejsza ilość karnych punktów osiągniętych przez trzech jeźdźców na trzech koniach w dwukrotnych przebiegach. Liczono głównie na Włochów, jako przewidywanych zwycięzców. Pasma licznych sukcesów odnoszonych przez nich już od wielu lat w zawodach skoków przez przeszkody — oparte na ich nowoczesnej szkole i systemie tzw. „naturalnym Caprillego” — nie opuszczało tych świetnych, bardzo uzdolnionych, niezwykle sympatycznych jeźdźców i koni.

Niemal „leb w leb”, mówiąc językiem konia-ry, dochodzili do Włochów Polacy. Zaledwie od kilku lat zjawiający się na horyzoncie międzynarodowego jeździectwa — poważnie zagroziliśmy czołówce świata, do której zaliczali się Francuzi, Belgowie, Szwedzi, Anglicy, Niemcy i Hiszpanie jako renomowani, najwyższej klasy konkurenci.

Wszelkie imprezy konne w Anglii mają swe wspaniałe, znane w świecie tradycje. Są one tam sportem najstarszym, niemal narodowym, szeroko uprawianym bez względu na wiek i płeć miłośników konia. Toteż w ojczyźnie tego wspaniałego zwierzęcia — konia pełnej krwi angielskiej, zawody, w których braliśmy udział — miały swoją specjalną wymowę. Byliśmy wprost oszołomieni różnorodnym bogactwem konia angielskiej hodowli i ogromnego dla niego kultu. To wrażenie dominowało na każdym niemal naszym kroku, przyduszało i tak więcej niż skromne możliwości naszych koni. Mimo to duch w nas tkwił bojowy.

Wszystkiego ciekawym, głodnym nie tylko zwycięstw sportowych, snuliśmy śmiałe nadzieje. Oglądani jako „egzotyčni” goście, pragnęliśmy doznać też nieco więcej cieplejszego przyjęcia u tamtejszej istotnie pięknej płci, nie bardzo przyzwyczajonej

do okazywania jej żywszych męskich uczuć, zainteresowań i zabiegów. Z niemałym powodzeniem udało się to naszemu kolegom dopiero w kilkanaście lat później, gdy w okresie drugiej wojny światowej zjawili się na wyspie liczne polskie oddziały wojskowe. Lecz wtedy, w czasie pokojowej kilkudniowej wizyty cóż więcej mogło nas spotkać, jak trochę nadziei na uśmiech szczęścia chyba tylko sportowego.

Wśród naszych koni, niestety, nie było już mego nieodżałowanego olimpijczyka Picadora, którego w roku poprzednim sprzedałem w Neapolu, oddając go w posiadanie zamożnej amazonki hrabiny Dentice di Frasso.

Pierwsze po upływie roku moje wzruszające z nim spotkanie nastąpiło właśnie teraz w londyńskiej „Olimpii”. Picador, zmieniwszy barwy narodowe, z konieczności stał w szrankach przeciwko nam, lecz bez dawnego już powodzenia. Znalazł się on w składzie włoskiej wspaniałej ekipy, pod znakomitym jeźdźcą, moim kolegą i współzawodnikiem w licznych międzynarodowych spotkaniach — majorem Borsarellim.

W skład naszego zespołu wchodził: porucznik Szosland z 2 p. ułanów, rotmistrz Dobrzański z 2 p. szwoleżerów, oraz Dziadulski i ja, obaj rotmistrze z 1 p. szwoleżerów¹⁾.

Jazdę Szoslanda cechował zawsze spokój, sumienna pracowitość, doskonałe wyczcucie konia oraz równowaga nerwowa wynikająca w dużym stopniu z jego nieco flegmatycznego usposobienia.

Dziadulski wyróżniał się pewnego rodzaju (w dobrym stylu) nonszalancją, wygodnictwem, niemniej bardzo poprawną sylwetką i jazdą stosowaną raczej na aplauz i pokaz niż na efekt zwycięstwa. Na zdobyciu nagrody mniej mu zależało. Nie zamierzał się ciężko o to bić.

Mnie w tym czasie ciągle uważano za jednego z najbardziej muirowanych filarów naszego jeździectwa wyczynowego, choć już nie dysponowałem moimi świetnymi końmi Jaśkiem i Picadorem. Zastąpiły je inne. Byłem jednak zawsze, bez względu na jakość dosiadanego konia, zawodnikiem dużego kalibru, zdrowia i wytrzymałości, pełen nowych możliwości, wiary i woli zwycięstwa. W jeździe nerwowo opanowany, gotowy bić się do końca. Nie peszyły mnie nigdy ciężkie warunki zawodów, nie przerażała najwyższej klasy konkurencja, ani liczne wypadki i poturbowania.

Henryk Dobrzański, któremu poświęcam to moje wspomnienie, należał do jeźdźców bardzo zdolnych. Twardy, dzielny ryzykant o porwyczym, a nawet gwałtownym usposobieniu, nieustępliwy i ambitny. Charakter niepohamowany, trudny do ujęcia w karby dyscypliny wojskowej. Urodziwy watażka o jasnych włosach i złotym sercu. To właśnie on, major Henryk Dobrzański-Hubal, w pierwszym roku okupacji 1939—1940 był organizatorem i dowódcą „niezależnego”, słynnego konnego oddziału partyzanckiego „Hubalczyków”. Nieprzejednany, okrutny wróg i mściciel, walczył z Niemcami w drugiej wojnie do końca w Górach Świętokrzyskich, gdzie poległ. Jego niezwykłą sylwetkę, krwawą i bohaterką działalność wojenną opisał swym znakomitym piórem Melchior Wańkowicz.

Henryk Dobrzański, nasz kolega w zespole londyńskiej wyprawy jeździeckiej, jest główną postacią tego wycinka historii sportowej, jednego z fragmentów moich wspomnień. Wyróżnił się tam wówczas wspaniałym osiągnięciem w pucharze księcia Walii. Szczerze dzielił z nim radość tego dużego sukcesu. Jednocześnie posłużył nam on do urzędzenia naszemu triumfatorowi nieco złośliwego żartu w odwecie za niżej opisaną przygodę, jaką przeżyliśmy niedawno dzięki jego nieobliczalnej fantazji.

Pewnego dnia w czasie naszej wyprawy do Londynu przed rozpoczęciem zawodów postanowiliśmy urządzić sobie małą krajoznawczą wycieczkę do miejscowości Aldeshot, gdzie na terenie ogromnego obozu wojskowego mieliśmy startować po zawodach londyńskich. Wynajęliśmy do swej dyspozycji samochód. Prowadził go nasz znajomy i ziomek, student Oxfordu. Przy nim usiadł Dobrzański, który za miastem chwycił za kierownicę. Pędziliśmy wypolerowaną jak lustro asfaltową drogą, którą w bliskich odstępach przecinały inne, boczne. W chwili gdy mijaliśmy jedną z nich, nagle Dobrzański w ostatniej chwili, zdecydował się na gwałtowny ostry zakręt. Wóz tracąc równowagę zawirował, wyrzucił się i razem z nami wylądował w przydrożnym płytkim i miękkim rowie.

Kawalerska jazda na szczęście zakończyła się bez groźnych następstw. Nieważne ślady potłuczeń, poszarpane ubrania cywilne, strach, jaki nas obleciał, i zdenerwowanie — możliwości lekkomyślnego wykończenia się przed zawodami zakablowaliśmy w pamięci na konto ryzykownej fantazji Henia. Niedługo czekaliśmy na rewanż. Wkrótce nadarzyła się świetna okazja.

Oto wielki dzień „Pucharu Narodów” o nagrodę szczerozłotego, pięknego kutego pucharu, ufundowanego przez księcia Walii. W tym konkursie bierzemy oczywiście udział całą ekipą na naszych najlepszych koniach. Każdy z nas napięty do ostatnich granic wolą zwycięstwa. Wszak to najbardziej oficjalna zwarta reprezentacja naszych narodowych barw.

Dobrzański startuje na doskonałym skoczku „Generale”, niedużym, lecz jak piłka gumowa sprężystym, podobnie jak Picador krótko kurtyzowanym — złotym kasztanie.

Koń ten odniósł uprzednio duże sukcesy na zawodach nicejskich pod swoim właścicielem i czołowym jeźdźcą rotmistrzem Rostwo-Suskim, który sam nie mogąc wziąć udziału w tej londyńskiej imprezie — oddał swego „Generała” na użytek naszej ekipy.

Dobrzański właśnie na tym koniu dokonał wówczas wyjątkowego wyczynu: dwukrotne przebiegi i zarazem najlepszy indywidualny wynik dnia. I choć ten rezultat nie mógł już wpłynąć na wydarzenie zespołowego zwycięstwa Włochom, którzy różnicą niewielu punktów uplasowali się na pierwszym miejscu — drugie tuż za nimi, bardzo zaszczytne, przypadło w udziale Polakom. Za nami na trzecim miejscu znaleźli się Anglicy.

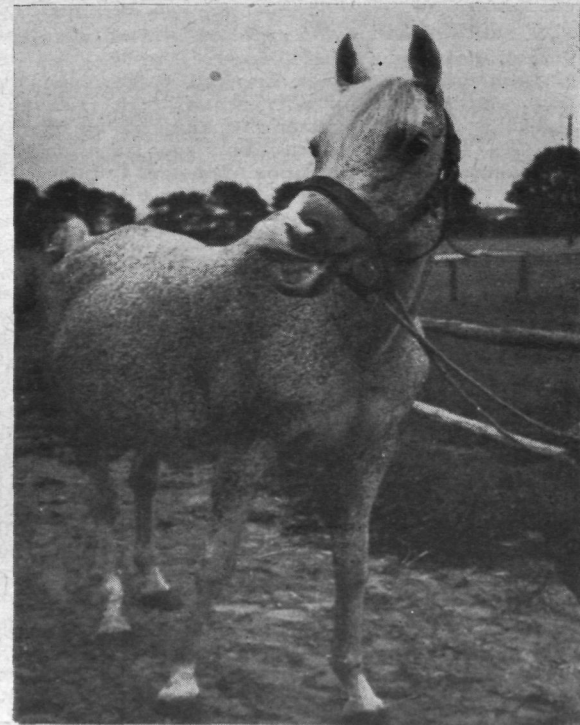
W tym świetnym towarzystwie, w bardzo poważnej konkurencji, nasze ambicje zyskały pełną satysfakcję. Pierwsze trzy zwycięskie zespoły wjeżdżały późnym wieczorem na oświetloną arenę do uroczystej dekoracji i wręczenia nagród.

Serca nasze były zgodnie rytmem zrozumiałej narodowej dumy.

Naszym pocziwym, zacnym koniom u naczółka z prawej strony przypięto wstęgi honorowe, Włochom wręczono wspaniałe, wielkiej wartości trofeum. Zawód naszych śmiałych nadziei i wysił-

¹⁾ Z wymienionej czwórki tylko autor przeżył drugą wojnę, reszta zginęła.

Dalszy ciąg na str. 18



Dokończenie ze str. 17

ków łagodziła pewność, że jednak nagroda specjalna za najlepszy indywidualny wynik, zgodnie z przyjętym we wszystkich krajach zwyczajem, będzie za chwilę wręczona jednemu z polskich jeźdźców — rotmistrzowi Dobrzańskiemu.

Henio wraz z nami w stanie wielkiego podniecenia oczekiwał tej chwili — na próżno! Nagrody specjalnej, indywidualnej nie przewidziano! Okazało się, że Anglicy, którzy w owym czasie nie startowali jeszcze nigdzie poza swym krajem — nie przyjęli wzorów stosowanych gdzie indziej w tego rodzaju próbach.

Po wyrazistej, buńczucznej twarzy Dobrzańskiego, przed chwilą pełnej zadowolenia i radosnego oczekiwania, przewalała się złowroga fala uczuć i zmienionego nastroju, widoczna jak na dłoni. W szaroniebieskich, zadziornych oczach tkwiło już napastliwe zarzewie pasji, buntu, nagłej krwi. W takich chwilach na połowie gładkiego czoła Henia zjawiała się charakterystyczna pionowa rysa. Widzieliśmy ją u niego zjeżdżając z areny.

Zsiedliśmy z koni pełni różnych sprzecznych wrażeń i emocji, nie komentując na razie danego zawodu. Po oględzinach koni, masażach, bandażach i niezbednych zabiegach wracaliśmy już prawie nocą (dla odprężenia pieszko) ulicami Londynu do naszego „Royal Palace Hotelu”. Wtedy rozluźniły się wreszcie nasze nerwy i języki. Zaczęliśmy omawiać przeżyte wrażenia minionego dnia, jazdę każdego z nas, nie skąpiąc gorących słów uznania dla Dobrzańskiego, będąc ciągle pod wpływem jego dwóch pięknych, bezkonkurencyjnych przebiegów.

Henio długi czas szedł niepokojąco ponury, milczący. Grało w nim — piekło. Chcieliśmy mu osłodzić gorycz zawodu szczerym, koleżeńskim współczuciem, a mądre wszystko wysoką oceną jego świetnej jazdy i znakomitego wyczucia bądź co bądź obcego konia — „Generała”. Ale właśnie uzyskaliśmy skutek odwrotny, jeszcze bardziej pogłębiając jego pionową zmarszczkę na czole. W końcu usłyszeliśmy wybuch pełen dosadnych określeń (na szczęście w naszym pięknym ojczystym języku), skierowany pod adresem gospodarza londyńskiej imprezy i ich zgola nieeuropejskich zwyczajów w jeździectwie. Kiedy wchodziliśmy w progi naszego hotelu, cały komitet organizacyjny zawodów był już odpowiednio porożstawiany po kątach, zdyskwalifikowany, odsądzony od czci i wiary.

Jak zwykle, przechodząc korytarzem do naszych pokoi, mijaliśmy stojące na parapecie okiennym i wielokrotnie przez nas zauważone pospolite gliniane naczynie — dość sporych rozmiarów wazon z kwiatami. W tym momencie nasunął mi się pewien złośliwy pomysł, który miał wszelkie szanse stać się świetnym kawałem.

Gdy wszyscy znaleźli się w swoich pokojach, telefonicznie poprosiłem kolegów do siebie z wyjątkiem Dobrzańskiego. Z ochotą zgodzili się na następujący projekt. Oto wykorzystując okoliczności, nastrój i napięcie naszego nie nagrodzonego triumfatora, prześlemy mu niby w darze od dyrekcji „Royal Palace Hotelu” prezent — pamiątkę, w postaci wyżej wspomnianego wazonu.

W sali korespondencyjnej był zawsze do dyspozycji gości elegancki papier firmowy hotelu. Na nim w imieniu teje dyrekcji wystosowaliśmy w języku francuskim do „kapitana” H. Dobrzańskiego gratulacyjne pismo. W kilku słowach wyraziliśmy gorące uznanie dla jego znakomitego wyczynu, załączając w upominku dar — załączony Puchar. List w kopercie i zapakowany wazon miał po 15 minutach wręczyć pokojówka w pokoju Dobrzańskiego, u którego kolejno niezwłocznie zjawiliśmy się na rzekomą pogawędkę.

W momencie najwyższego nasilenia nastroju, o jaki nam chodziło, zjawiała się pokojówka. Na tacy list i paczka. Złożyła to na stole i odeszła. Pełni wewnętrzznego napięcia, śledziliśmy bacznie zachowanie się adresata.

Zaintrygowany podszedł do stołu. Milcząc, udawaliśmy dykretne zaciekawienie. Chwycił najpierw list i otworzył. Wlepiliśmy w niego oczy, chcąc wyczytać z jego twarzy, czy nasz żart się udał, czy nie został przedwcześnie rozszyfrowany.

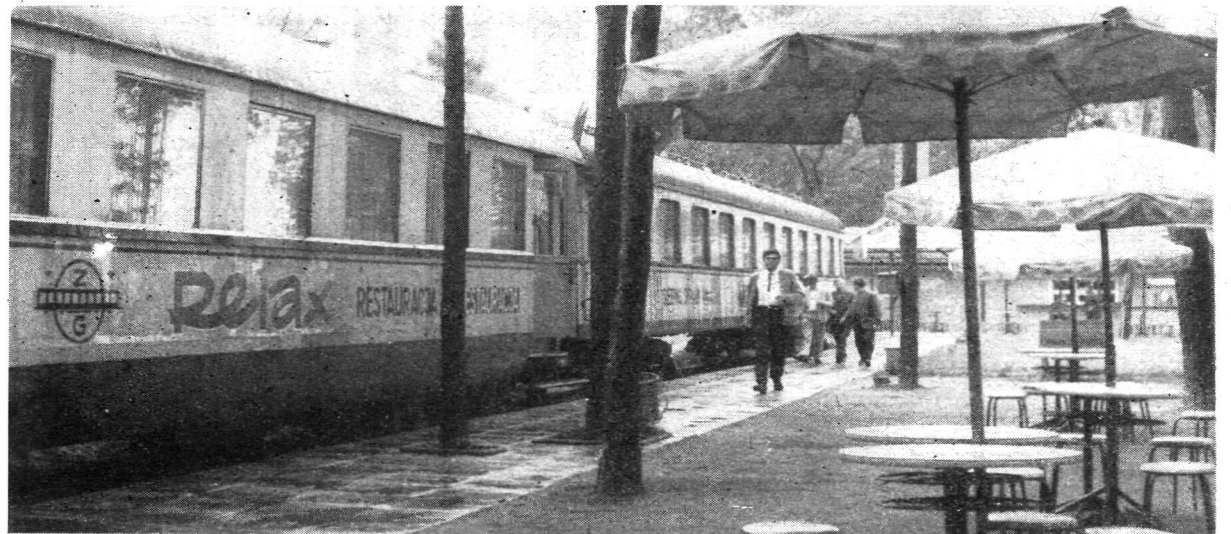
Henio połknął haczyk. Widzieliśmy, jak jego twarz złagodniała, rozpogodziła się, rozjaśniła przemilnym, pełnym uroku uśmiechem. Pionowa bruzda gniewu czarodziejsko znikła z czoła bez śladu. Rozanielonym, lecz nieco dumnym spojrzeniem ogarnął każdego z nas po kolei i, niczego się nie domyślając, powiedział: no, moi kochani, omyliliśmy się. Za wcześniej osądziliśmy Anglików. O! to naprawdę dżentelmeni wysokiej klasy! —

Poderwaliśmy się z miejsc udając już teraz nieskrywane zaciekawienie. Jak to? Co to znaczy? Dobrzański raz jeszcze spojrzął na nas z góry, odpapnął z przyjemnego wrażenia i nadal niczego podejrzanego nie zauważywszy odczytał nam list. Skończył. Nerwowym ruchem rozdarł opakowanie, z którego wyłonił się znany mu gliniany wazon. Ryknęliśmy naraz śmiechem dotąd z dużym wysiłkiem wstrzymywanym. Heniowi krew uderzyła do głowy. Twarz stężała mu wściekłością. Sina, pionowa rysa jak błyskawica przecięła czoło. Porwał nieszczęsne naczynie i rąbnął nim o podłogę.

Okrutny żart doprowadzony do końca przestał być dla nas śmieszną zabawą, gdyśmy spostrzegli, że Henio porwał się gwałtownie do otwierania dużej walizki, w której — wiedzieliśmy — miał

rewolwer. Widząc jego nieprzytomne rozjuszenie, zrozumieliśmy, że należy ulotnić się jak najszybciej, zanim nas nie wystrzela po kolei. Jak szczerzy umykaliśmy do swoich pokoi zamykając się czym prędzej na wszelki wypadek od wewnątrz. Dobrzański szalał jakiś czas po korytarzu, czahając, czy który z nas nosa nie wychyli. Obdarzał nas słowami gorszymi od tych, którymi uprzednio częstował Anglików. Udobruchał się jednak wkrótce. Sam też lubił innym płatać diabelskie figle, więc i nam wybaczył ten ostry żart.

Tym bardziej nie boczył się już na nas, gdy w kilka dni później Anglicy naprawili swoje przeoczenie. Dobrzański niespodziewanie otrzymał piękną pamiątkę — złotą papierośnicę — dar księcia Walii za najlepszy indywidualny wynik osiągnięty w konkursie jego imienia w Londynie.



RELAKS NA KÓŁKACH

Ogromne powodzenie, jakim zaczęła się cieszyć Polska wśród turystów zagranicznych, ukazało, że mamy w Kraju ciągle za mało hoteli, pensjonatów i tym podobnych miejsc noclegowych. Budowa wielkich luksusowych hoteli, jak ostatnio otwarty kilkunastopiętrowy hotel „Katowice” — oczywiście w Katowicach — trwa z natury dosyć długo. Szybciej można stawiać niewielkie, popularne w całym świecie motele dla turystów zmotoryzowanych.

Z miejsca zdobył wielką sławę nowo otwarty motel w Rybieniu na szosie Warszawa — Białystok. Jego restauracja ma — podobno! — najlepszą kuchnię w Polsce.

Czy najlepszą — nie wiemy, ale koledzy z Kraju, którzy tam byli, twierdzą, że rzeczywiście jest doskonała.

A co robić w miejscach, gdzie ruch turystyczny jest tylko sezonowy i stały motel niezbyt się opłaca? Pomysłamy o tym Kolejowe Zakłady Gastronomiczne. Kilka przebudowanych odpowiednio wagonów: sypialne, restauracyjne, bar — gotowy motel, który można ustawić w dowolnej, pięknej miejscowości na bocznicie kolejowej, podłączyć światło, telefon, na peronie rozstawić stoliki pod parasolami, obok peronu parking. A wszystko nazywa się „Relax”.

(J)



RADY

od
serca

KOCHANA PANI ANNO!

Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Spotykaliśmy się przez pewien czas, aż nagle on przestał się pokazywać. Staraliśmy się zbadać powody. Sledziłam go. Dowiedziałam się, że zadaje się z mężatką, oczywiście po kryjomu.

Upłynęło półtora roku, widocznie tamta idylla skończyła się, zaczął bywać ze mną i z moim towarzystwem. Wkrótce pobraliśmy się. Urodziłam dziecko. Byłam bardzo szczęśliwa. Ale to trwało krótko. Mój mąż stał się pochmurny, przestał się mną interesować, prawie ze mną nie rozmawiał. Nie wiedziałam, co robić. Zaczęły się kłótnie i sceny. Wreszcie, podczas jednej z takich scen mąż mi oświadczył, że od początku naszego małżeństwa jest nieszczęśliwy, że kocha tylko tamtą, że zrujnował jej małżeństwo i nie może bez niej żyć, że uważa się za nędznika, bo rzucił ją i ożenił się z mną.

Po tej awanturze mąż odsunął się zupełnie. Próbowałam nawiązać rozmowę, pogodzić się. Na nic. Jest w stosunku do mnie oziębły, nie interesuje się mną ani dzieckiem. Upłynęło już kilka miesięcy i nie mogę tego dłużej znieść. Jestem przeciw jego ślubną żoną, matką jego dziecka, i do nas należy on i jego życie. Poradź mi, droga pani Anno, jak postępować, by kochał mnie, a nie tamtą.

NIEKOCHANA

DROGA PANI!

Ileż bym dała za to, by wiedzieć, jak powinna postępować kobieta, żeby ją kochał mężczyzna, a nie tamtą.

Myślę, że nikt tego nie wie i dlatego tak trudno mądrze postępować w sprawach sercowych, gdzie żadne dokładne przepisy nie istnieją.

Myślę, że powinna pani szanować męża za to, że powiedział prawdę. Przyznał się do swego błędu, bo przecież kochając tamtą nie powinien był z panią się żenić. Sądzę, że to pani parła do tego małżeństwa i to było lekkomyślne.

Pytanie brzmi — co robić dalej?

Mam wrażenie, że mąż pani nie spotyka się już z tamtą kobietą i że nie zamierza rzucać domu. Na razie cierpi, jest nieszczęśliwy. Potrzebny mu spokój i czas, który zagoi rany.

Niech pani więc nie zadaje pytań, nie żąda czułości, nie robi awantur. Niech pani będzie cierpliwa, tylko wtedy może pani wygrać.

„Jestem jego ślubną żoną i do mnie należy jego życie”

— tak pani napisała. To bardzo łatwo napisać, ale bardzo trudno zrealizować, to znaczy kochać siebie, gdy tego uczucia w nim nie ma. Tylko czas, spokój, miła atmosfera mogą go wyleczyć z tamtego uczucia, mogą go do pani zbliżyć. Wiele zależy od pani taktu i dyplomacji. Ma pani szansę, nie wolno jej zmarnować.

ANNA

SZANOWNA PANI ANNO!

Przed paroma laty rozwiodłem się z żoną. Nie mogłem z nią dłużej żyć. Zostawiłem ją z dziećmi, zabezpieczając byt. Nie chcę wdawać się w przyczyny tego kroku, nie mogłem postąpić inaczej. Przez tych kilka lat żyłem samotnie, ciężko pracując na siebie i na opuszczony dom.

Ostatnio poznałem kobietę, rozwódkę z dwojgiem dzieci. Chciałbym się z nią związać i dzielić dalsze życie. Był opiekunem jej dzieci, skoro własne musiałem porzucić. Ta kobieta mnie kocha, ale jej matka wtrąca się w nasze sprawy i namawia ją, by ze mną zerwała, bo jestem rozwodnikiem.

Ja mam 38 lat, ona 35, jeszcze długie lata moglibyśmy żyć szczęśliwie, ale matka w żaden sposób nie chce się zgodzić na nasz ślub.

Napisała do mnie list, niegrzeczny, nawet z wymyśla-

niem i z żądaniem, bym zerwał z jej córką.

Nie wiem, co robić, bo czuję, że z tą kobietą byłbym szczęśliwy.

ROZWODNIK

SZANOWNY PANIE!

Pierwszy raz słyszę, by matka trzydziestopięcioletniej osoby mogła wpływać w tak kategoriyczny sposób na decyzję swojej córki. Obawiam się, że to nie matka ma wątpliwości, tylko ta kobieta, z którą pragnie się pan związać.

Może coś było w pana życiu, o czym ona wie, a co pan ukrył? Może nie jest pan takim ideałem, jak by pana list wskazywał? Nie podaje pan powodów, dla których opuścił pan żonę, dzieci, dom. Może nie wszystko było z pana strony w porządku? Może ta kobieta boi się związać z panem na całe życie? Może po prostu nie ufa panu. Warto by to sprawdzić, bo są to oczywiście tylko moje domysły.

Osobiście nie mam nic przeciw rozwodnikom. Życie różnie się układa. Czasem jednak sam fakt porzucenia żony i dzieci ma określony wymowę. Czasem mężczyzna ponosi winę za rozwód, i to niestety dosyć często się zdarza.

ANNA

Sukces zespołu „KALINA” w Charmes-la-Côte

Znany polski zespół folklorystyczny „Kalina” z Pont-à-Mousson (Moselle) nie przynosił nawet w okresie wakacji. Zaledwie skończyły się kursy folklorystyczne w Polsce i grupa młodzieży z „Kaliny” wróciła do Francji, już trzeba było zacząć szykować się do występów. Zaproszeń nie brakowało.

Zespół, którym kieruje stale p. STEFANIA DACH, odnawia i wzbogaca wciąż swój repertuar. Obecnie, po powrocie części zespołu z kursów w Polsce, repertuar ten jest jeszcze ciekawszy i jeszcze bardziej urozmaicony. „Kalina” może obecnie popisywać się wielkim wyborem i tańców i piosenki zupełnie nowych, nie znanych jeszcze publiczności z d. r. tamentów Moselle, Meurthe-et-Moselle i dalszych nawet

okręgów, do których zespół dociera.

Nagrodą dla zespołu, który tak rzetelnie przykłada się do pracy i z tak szczerym entuzjazmem propaguje polską sztukę ludową, był od razu pierwszy występ w nowym sezonie. Na festiwalu w Charmes-la-Côte, na którym „Kalina” wystąpiła ze swym nowym programem, przyznano jej pierwsze miejsce. Jury, które złożone było ze specjalistów tańca ludowego, kierowników domów kultury i któremu przewodniczyła pani Sylvette Vidy, przyznało pierwszą nagrodę oraz puchar kryształowy zespołowi „Kalina”, jako bezwzględnie najlepszemu. Na drugim miejscu uplasował się zespół „Sloga” z Nancy, a na trzecim „Brouvaux” z dep. Moselle. Oprócz tańców i piosenki jury oraz rozentuzjazmowana publiczność wyraziły swe uznanie również i dla pięknych strojów zespołu.



Michalinka ma głos

Sumienie i złudzenie

Nie tyle jest ważne, aby być młodą, lecz by wierzyć, że się jest młodą. Nie tyle trzeba być ładną, ile mieć przekonanie, że się jest ładną.

Otóż Julcia jest przekonana o jednym i drugim. A że w rzeczywistości jest trochę pękata, trochę zezowata i posunięta w latach, to jej wcale nie przeszkadza. Jej wiara w siebie jest bowiem niezłomna. A poza tym jeszcze usilniej wierzy w swoją cnotę. I to połączenie tych jej przekonań jest dla niej rzeczą nader praktyczną.

— Wiesz — powiada mi nieraz — co do mnie, możesz być spokojna. Nie należę do tych, co to drugim odbijają mężów. Jestem kobietą z zasadami.

Bez tych jej szlachetnych zasad nie miałabym również w tym przypadku żadnych obaw. Ale jej tego nie mówię. Ona jednak lubi do tego tematu powracać:

— Są kobiety — powiada — które pragną tylko głowy mężczyznom zawracać. Mnie by sumienie na to nie pozwoliło.

Przytakuje z uznaniem dla jej sumienia.

— Nie znoszę tej pustej kokieterii, tych wyzywających sukienek i dekolotów. Czyś mnie kiedyś widziała obnażającą się w mini-jupe?

(Nie widziałam i nie miałabym ochoty zobaczyć).

— Trzeba mieć swoją godność — ciągnęła Julcia — i umieć zachować dystans. Zwłaszcza w stosunku do mężczyzn. Inaczej spokoju ci nie dadzą.

Trudno mi było wyobrazić sobie Julcię niepokojoną przez hordy mężczyzn. Jej wyobraźnia jednak dalej pracowała żywo:

— Dam ci przykład — powiada — Znasz pana Dupont?

— Ten szpakowaty, przystojny?

— A właśnie. Otóż nie masz pojęcia co ten człowiek wyrabia, aby zawrzcę ze mną znajomość. Ileż to razy próbował przystąpić do mnie na ulicy, by przemówić i wyrazić swoje uczucia!...

— Więc dlaczego tego nie zrobił?

— Bo jest chyba zbyt nieśmiały. A poza tym poznał, że jestem kobietą z zasadami. Ale on się po prostu spała!...

Zazdroszczę Julci. Wiem dobrze, że na mnie pan Dupont nawet by nie spojrział, ale ona go widzi u swych stóp.

— Albo też ten lekarz z przeciwka. On już mnie po prostu unika. Rozumiesz bowiem, że ma żonę i dwoje dzieci. Boi się więc komplikować sobie życie. Bo gdy mężczyzna w tym wieku się zakocha!...

— To rzeczywiście byłaby katastrofa — przytakuje.

— Ale czy sądzisz, że ja bym do tego dopuściła? Nigdy! Nie odważyłabym się rozbijać czyjegoś ogniska domowego. Jestem kobietą, która liczy się z uczuciem drugich.

Patrzyłam na Julcię z podziwem. Co za szczęśliwa osoba. A ona, dumna z mego podziwu, ciągnęła dalej.

— Ale wyobraź sobie, moja kochana, co by to było, gdybym ja tak się nie liczyła z innymi? Gdybym nie miała sumienia ani skrupułów?

Co by było? — pomyślałam. — Wtedy nie miałaby również swoich pięknych złudzeń. Ale jej tego nie powiedziałam. Natomiast rzekłam głośno.

— To doprawdy szczęście, że jesteś kobietą z zasadami i skrupułami.

— Szczęście dla innych — westchnęła Julcia.

— Szczęście dla ciebie — westchnęłam cichutko, aby nie dosłyszała!...

MICHALINKA

WZOROWY MAŻ

Wychodzący w Łodzi dziennik „Głos Robotniczy” zorganizował ostatnio interesujący konkurs, którego celem było wyłonienie „wzorowego męża 1968”.

Każdy z kandydatów musiał spełnić 11 warunków doskonałego męża, tj. ca, głowę rodziny i... zięcia.

O wyborze zwycięzcy decydowała komisja złożona z samych kobiet. Na podstawie nadesłanych materiałów, opiniowanych nie tylko przez żony, ale i teściowe, wytypowano dwóch równorzędnych zwycięzców.

Wzorowymi mężami 1968 roku zostali wybrani: włókniarz Bogdan Janiszewski z Aleksandrowa oraz Kazimierz Piaskowski, pracownik umysłowy z Łodzi.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SADACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE



DWA OBSZERNE NOWOCZESNE MAGAZYNY gwarantują Wam nie spotykany dotąd wybór wszystkiego, co dotyczy komfortowego WYPOSAŻENIA MIESZKANIA I GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

LATO! Pomyślcie o zakupie LODÓWKI.

NASZE ceny są bezkonkurencyjne, gwarancja na 5 lat. LODÓWKI mają ładny, estetyczny wygląd, znak wysokiej jakości.

Zapewniamy, że z zakupu będziecie zadowoleni.

LODÓWKI: 120 litrów 495 F. 143 litry 595 F. 150 litrów 620 F. 175 litrów 675 F. 240 litrów 810 F.

ETS. JACQUES DEVAUX — 2-bis, rue Pasteur (obok fosse 2-bis) MARLES-les-MINES — tel. 10

LISTY Józefa Grzybka

Powakacyjne spotkania

Wrócili. Są już teraz wszyscy. Opalili się na słońcu do oliwkowej barwy, dobrze wyglądają i, jako że zdają sobie z tego sprawę, zaczynają odwiedzać krewnych i znajomych. Chcą się wygadać i pochwalić. Chcą, żeby im prawić komplementy, że tak wypiękniali. Chcą także, żeby im dziękować za otrzymane od nich w sierpniu znad morza i z gór kartki. Przedwczoraj przyjechała ciotka Heluńcia z Méricourt-Corons. Oni byli w La Napoule. Rany boskie, jak tam jest ładnie! Na tle nieba delikatnymi konturami, rysują się wielkie wachlarze palm. Morze Śródziemne to coś cudownego. W górniczym ośrodku wypoczynkowym dawali dobrze jeść. Tylko stanowczo za mało było „pyrek”. A ciotka bez „pyrek” ani rusz. Ciotka przyjechała o godzinie dziesiątej rano, a odjechała ostatnim autobusem, to znaczy o godzinie dwudziestej pierwszej. Wczoraj przed południem zaś przyjechał mój chrześniak, Janek, z żoną i teściową. Ogorzali jak Cygańczuki z powieści Kraszewskiego. Na wakacjach byli koło Perpignan, mieszkali w jakiejś zabitej deskami dziurze, nazwy nie pamiętam. Zaczęli tak jak i ciotka Heluńcia: Rany boskie, jak tam jest ładnie! Podobnym wstępnym słowem uraczyli nas również Kapuściński, to znaczy kuzynka mojej żony i jej mąż, którzy wczasy spędzili w Bretanii i którzy odwiedzili nas wczoraj po południu. No i co? No i nic. Tyle, że zaczynam myśleć tak jak Jean Gabin, który o krewnych powiada, że są oni jak piękny górski krajobraz: najlepsze wrażenie czynią z daleka.

Zartuje, oczywiście. W rzeczywistości jestem zdania, że to bardzo dobrze, że po wakacjach ludzie składają sobie wzajemnie wizyty i opowiadają o tym, gdzie byli, co widzieli, jak wypoczywali, co zwiedzili, itd. Bo przecież takie spotkania i rozmowy stanowią coś na kształt „okna na świat”, dowiadujemy się z nich wszyscy ciekawych rzeczy o wielu nie znanych nam miastach, regionach, problemach, itd. — i gruntują one także (te spotkania i rozmowy) łączącą nas z krewnymi i znajomymi przyjaźń.

Mogłyby one zresztą gruntować i coś więcej jeszcze. Co takiego? Nasze własne i młodzieży przywiązanie do Polski. Jak to należy rozumieć? Zaraz postawię kropkę nad i.

Pomyślmy: z naszych osiedli każdego roku sporo ludzi wyjeżdża na wakacje do Polski. Niektórzy jadą indywidualnie, ale wiele, ale coraz więcej

osób zapisuje się na wyjazdy grupowe, jedzie do Polski z wycieczkami organizowanymi przez stowarzyszenie „France-Pologne” i inne organizacje czy biura podróży. Ci, którzy jadą do Polski zespołowo, w zasadzie po Polsce podróżują. Zwiedzają nieporównanie więcej niż ci, którzy zaznajamiają się z Polską samodzielnie, na własną rękę. Po powrocie z Polski niejedno mogłoby opowiedzieć, niejednym ciekawym spostrzeżeniem mogłoby się z ludźmi podzielić. Dlaczego używam trybu warunkowego? Dlaczego piszę: „mogłoby opowiedzieć”, „mogłoby się podzielić”, a nie: „opowiadają”, „dzielią się”? Czy ci ludzie to same jakieś niemowły, mruki i milczki? Nic podobnego! Gadają jak najęci, bez oddechu, bez przestanku. Wiadomo — o Polsce można nieskończenie. Tylko że opowiadają swoje wrażenie tylko krewnym, przyjaciółom, znajomym. A przecież mogłoby je opowiedzieć wielu innym jeszcze ludziom, czy nie?

W jaki sposób? W sposób bardzo prosty. Nie, nie zamierzam tu nikogo namawiać do urządzania u siebie w domu jakichś bib czy konferencji. Tą sprawą winni się zająć organizatorzy wycieczek. Mogłoby przecież zwrócić się listownie do swoich wycieczkowiczów, napisać im: takiego a takiego dnia, o godzinie takiej i takiej, w takiej a takiej kolonii, w takiej a takiej „kafejce” — odbędzie się spotkanie uczestników naszej wycieczki. Mogłoby również dać o tym znać w prasie, poinformować o tym spotkaniu całą w ogóle ludność danej okolicy. Jaki byłby z tego pożytek? Całkiem rzetelny. Wycieczkowiec przylgnąłby do siebie na dobre. Młodszy wycieczkowiec przylgnąłby na dobre do polskości. Na spotkanie przyszłoby na pewno ludzie noszący się z zamiarem odwiedzenia Polski w przyszłym roku i tacy jak ja, zwyczajni ciekawi. Pisałaby o tym lokalna prasa francuska...

Myślę, że takie spotkania wszystkim wyszłyby na dobre. I tym, którym leży na sercu krzewienie polskości i przyjaźni francusko-polskiej, i organizatorom wycieczek do Polski, i biurom podróży — w ogóle wszystkim.

Powie ktoś: — No, to na co czekamy?

No właśnie!

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.

23, Taitbout PARIS IX-ème

Pologne-culture

LES RESULTATS DU RECRUTEMENT
À LA POLYTECHNIQUE DE VARSOVIE.

L'Ecole Polytechnique de Varsovie est le plus grand établissement technique supérieur en Pologne. Elle a admis cette année 2600 candidats. Les facultés mécaniques a joui du plus grand succès, aussi l'examen d'entrée était le plus sévère. 1000 jeunes ont subi avec succès les épreuves, faute de places, n'ont pas été admis. On note

en moyenne qu'il y aura cette année environ 10% de plus de jeunesse d'origine ouvrière et paysanne.

CE QUE LES POLONAIS
ONT VU SUR LES ECRANS.

Selon les statistiques en 1967 les cinémas polonais ont projeté 1572 films, dont 472 — soviétiques, 297 — polonais, 131 — français, 129 — américains, 100 — tchécoslovaques, 89 — italiens, 71 — anglais, 57 — hongrois, 52 — de RDA. L'image la plus populaire était „Winnetou” (presque 6 millions 500 mille spectateurs) de production américaine, „La guerre et la paix” (2,7 millions de spectateurs) d'URSS.

§§ Mecenas radzi

Pan D. Z. PARYŻ

Jestem byłym oficerem armii polskiej. Mimo komunikatu, który niedługo był ogłoszony w prasie francuskiej, Kasa odmówiła mi renty względnie pensji, powołując się na fakt, że we Francji nie opłacałem składek, nie biorąc pod uwagę, że byłem ochotnikiem w Armii Francuskiej i że ta okoliczność otwiera, według ustawy, prawo do renty francuskiej.

Rzeczywiście, Archiwum Armii Cudzoziemskich we Francji ogłosiło w swoim czasie komunikat o emeryturach dla byłych wojskowych. Z powyższego komunikatu wynikało, że żołnierze polscy, którzy walczyli poza granicami Państwa Polskiego, mają prawo do renty polskiej, w oparciu o Konwencję Francusko-Polską o Ubezpieczeniach Społecznych. A więc byli wojskowi zawodowi lub rezerwiści, którzy posiadają we Francji odpowiednie lata pracy, otwierające im prawo do renty względnie pensji, po dojeździe do

wieku starczego mogą zwrócić się do Kasy Francuskiej o zaliczenie im okresu polskiego. Wówczas na podstawie Konwencji wyżej wymienionej do lat pracodawanych we Francji dojdą lata wysłużone w Polsce, a więc dla wojskowych zawodowych, oficerów lub podoficerów lata ich wysługi w Polsce. W zastosowaniu Konwencji każdej z obydwu państw płaci za okres pracy przypadający na jego terenie.

Jeśli chodzi o ochotników, to rzeczywiście art. 357 Kodeksu Ubezpieczeń Społecznych ustanawia, że na podstawie przepisów Min. Pracy i Spraw Społecznych dla powołanych do wojska ochotników, jeńców, deportowanych itp., ustalenie składek nie jest możliwe, wobec czego okresy te dają prawo do renty, gdyż ta kategoria ubezpieczonych znalazła się w wyjątkowych okolicznościach. Powyższy tekst nie działa zatem samodzielnie i jest ściśle oparty o ustawę co do świadczeń na starość, a więc wymaga opłaconych składek, przeznaczonych na ten cel.



BULIŚCI

BRUNEMONT. Zorganizowany przez Syndicat d'Initiative konkurs wygrała para **Godzki-Lemański** z A. B. Montigny-en-Ostrevent, miejsce 5 zajęli **p. p. Tersine i Kordec**, również z A. B. Montigny.

BOIS-du-VERNE. W ramach spotkania regionalnego bulistów organizowanego przez Stowarzyszenie „Au Guide” z Montceau-les-Mines **p. Błatnik** zajął miejsce drugie indywidualnie oraz miejsce pierwsze w tzw. dubletach.

LE CREUSOT. Para **Urban-Brun** wygrała challenge Corbier rozgrywany w Montceau-les-Mines.

BRUAY-en-ARTOIS. Dzielnica nr 3 obchodziła swoje tradycyjne święto lokalne, w ramach którego odbył się konkurs bulistyczny. W konkursie tym **p. Maćkowiak** zajął miejsce 2, **p. Walkowiak** 3, **p. Kalarowski** 8, **p. Roszak** 9, **p. Krzeszowicz** 10, **p. Tomczak** 11 i **p. Gralla** 14.

BOIS-du-VERNE. W spotkaniu międzystowarzyszeniowym na La Coudrai **p. Błaszczak** zajął miejsce czwarte, **p. Błatnik** 5 a **p. Mikulski** 7.

ISBERGUES. Konkurs stowarzyszenia Union des Boulistes wygrała para **Jacqueline Waryń-Milou** przed parą **Robert Waryń-Cordier** i parą **Raymond Waryń-Labre**.

SOMAIN. Staraniem stow. „La Boule de Fer” zorganizowany został konkurs regionalny, który wygrał **p. Bonorczyk** z Somain, **p. Klimeczyk** odpadł w półfinale, a **p. Chlibowski** z Dalaing w ćwierćfinale.

WĘDKARZE

NEVERS. Nad kanałem Digoïn rozegrany został konkurs wędkarski Burgundii. Konkurs ten wygrał **p. Georges Nowak** z Nevers. **p. Antoniewicz** z Montceau-les-Mines był 5, **p. Didier Nowak** z Corcile 6, **p. Stanisław Żyła** z Roanne 12, **p. Stefan Łuczak** z Saint-Vallier 38, **p. Michał Strużyński** z Montceau 41. Zespołowo wygrali wędkarze z Montceau-les-Mines.

LE CREUSOT. Miejscowe stow. miłośników sportu wędkarskiego „La GAULE Creusotine” zorganizowało doroczny konkurs. W grupie młodzieżowej zwyciężył **Christian Kaczorowski**, który w grupie ogólnej był 53. Miejsce drugie w grupie młodzieżowej zajął **Tony Andrzejewski** — 76 w grupie ogólnej. Niestety senior wędkarzy z Le Creusot **p. Kaczorowski** wylosował tak nieszczęśliwe miejsce, że znalazł się tym razem na końcu tabeli ogólnej.

GUEUGNON. Do finału Grand Prix National rozgrywanego w Gueugnon zostali zakwalifikowani m. in. z Gueugnon **p. Kopeczyński**, z Montceau-les-Mines **p. Strużyński** i **p. Antoniewicz**, z „La Gaule Creusotine” **p. Kaczmarek**, **p. Molande** i **p. Kaczorowski**.

FOLKLOR POLSKI

RACHES. Miejscowe stow. „Les Amis du Bois de Raches” obchodziło niedawno 20 rocznicę swojego istnienia. Największym powodzeniem cieszyły się występy folkloru polskiego „Kraakowiak” z Guesnain.

MONTCEAU - les - MINES. Stowarzyszenie b. uczestników Ruchu Oporu „Acacias” zorganizowało swój doroczny kiermasz. Największym aplauzem cieszyły się występy grupy folklorystycznej „Karlitzek” z Saint-Vallier.

HOJNI OFIARODAWCY

CIRY-le-NOBLE. Zebrane w czasie zaślubin datki ofiarowały małżeństwo **Śmiałowski-Régnier** na cele opieki społecznej.

MONTCEAU - les - MINES. Na cele społeczne złożyło datki małżeństwo **Micorek-Berton**.

WYRÓŻNIENIE
MODELARZA
LOTNICZEGO

CARVIN. **P. Eugeniusz Markuszewski**, długoletni instruktor w centrum kształcenia zawodowego Fosse 4 został wyznaczony na reprezentanta Północy Francji do krajowych zawodów mistrzowskich w Lyonie.

NAGRODY
I WYRÓŻNIENIA
ZA PIĘKNE OGRÓDKI

HAILLICOURT. W grupie czwartej uzyskała nagrodę za ozdobiony kwiatami dom **p. Raźna**. W kategorii pierwszej konkurs wygrał **p. R. Borowski** przed **p. T. Kasperskim**.

SANVIGNES - les - MINES. Pierwszą nagrodę za ukwiecony dom otrzymał **p. Kosiński** z Les Essarts.

BRUAY-en-ARTOIS. Miejscowe stow. ogrodnicze zorganizowało ocenę dobrze utrzymanych ogródków. Nagrodę 7 otrzymał **p. Józef Dziukowski**.

DYPLOMY ZAWODOWE

HÉNIN-LIÉTARD. Dyplomy mistrzowskie w zakresie fryzjerstwa otrzymali **pp. Teresa Kryściak, Maryline Włodarczyk, Daniela Ziarkowska, Daniela Rudnicka, Jean-Pierre Czarnecki, Ryszard Ciesielski, Annie Grzybowska, Anne-Marie Karmańczyk, Claudine Lewandowicz, Colette Maćkowiak, Danielle Kazmierczak, Henryk Gronowski, Michelle Gajdzińska**.

KĄCIK HODOWCY
GOŁĘBI

BILLY-MONTIGNY. Przeszło 350 gołębi wzięło udział w dużym konkursie Grand Prix Isidore. Konkurs ten wygrał **p. Siedzialka**, którego gołębie zajęły miejsca 1, 4, 8 i 14. **p. Wendziński** zdobył miejsce 6 i 7, **p. Pietrowiak** 13 i **p. Ławniczak** 18. W serii specjalnej zwyciężył również **p. Siedzialka**. Nagrodę za tzw. „séries” otrzymał **p. Siedzialka**. W kat. młodych gołębi **p. E. Ławniczak** był 9 i 19 i otrzymał nagrodę w postaci przedmiotu o wartości artystycznej.

SOMAIN. W konkursie zjednoczenia hodowców gołębi Somain, Sessevalle, Fenain „sur Chantilly” dla młodych gołębi **p. L. Bończyk** z Sessevalle był pierwszy przed **p. Pawlakiem** z Sessevalle i **p. Sliwińskim** z Fenain. W kat. gołębi „vieux” zwyciężyły ptaki **p. Pawlaka**.



PIĘKNY SUKCES PKOI w Antwerpii

Polski Komitet Olimpijski w Belgii z siedzibą w Antwerpii zakończył swą akcję związaną z Igrzyskami w Meksyku. W sumie Komitet zebrał na pomoc w wysłaniu polskiej reprezentacji olimpijskiej 37.110 franków belgijskich, które przekazał do dyspozycji Polskiego Komitetu Olimpijskiego w Warszawie. Jest to największa kwota, jaką dotąd w akcji olimpijskiej udało się uzyskać wśród Polonii belgijskiej. Ostatnią imprezą antwerpiaków w sezonie Olimpiady Meksyk 1968 była zabawa o polskim charakterze, na której oczy-

wicie nie brakło belgijskich przyjaciół. Na zdjęcie przedstawia kierownictwo Polskiego Komitetu Olimpijskiego w Antwerpii — z wyraźnie zadowolonymi minami, mają bowiem słuszny powód do dumy. Od lewej: pani Musiałowa, pan Musiał (skarbnik), pani Ejsmontowa, pan Ejsmont (wiceprezes), pani Praiss (sekretarz), pan M. Praiss (prezes), pani Karetowa i pan Karet (zastępca skarbnika). Jak widać, małżonki naszych sportowych działaczy dzielnie pomagają swym mężom w ich społecznej olimpijskiej akcji. Brawo!

KONSUL STANISŁAW TOPA OPUSZCZA LILLE

P. Stanisław Topa, konsul PRL w Lille opuszcza to stanowisko dla objęcia innej funkcji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. **P. Konsula Topę** żegna nie tylko Polonia francuska, ale również i społeczeństwo francuskie, za pośrednictwem prasy, jako człowieka gorąco oddanego sprawie przyjaźni polsko-francuskiej, zbliżenia i głębszego wzajemnego poznania obu narodów.

Odjeżdżającego żegnał z wielką serdecznością konsul generalny PRL w Lille **p. Tadeusz Wegner** jako współpracownika o wyjątkowych walorach osobistych i zawodowych. **P. konsulowi Topie** towarzyszą życzenia całej Polonii szczęścia i powodzenia w dalszej jego pracy. Do życzeń tych przyłącza się również i „Tygodnik Polski”.

Poniżej zamieszczamy fragment listu działacza Stowarzyszenia „France-Pologne”, **p. Ignacego Flaczyńskiego**, skierowanego do **p. konsula Topy** z okazji jego odjazdu.

„Szkoda, bardzo szkoda, że Pan nas opuszcza! Był Pan

i pozostanie Pan dla nas wszystkich świetnym i miłym przedstawicielem starej Ojczyzny. Pozostanie także Pan dla mnie żywym przykładem poświęcania się na rzecz Kraju naszych ojców. Zawdzięczam Panu wiele, zapewne więcej niż Pan sam sobie wyobraża. Kulturalna pomoc jaką Pan mi udzielał, nie tylko odbiła się na moim własnym rozwoju umysłowym i uczuciowym, lecz też i na ludziach, Francuzach i Polakach z mego otoczenia. Dokumentacja, jaką dzięki Panu dysponuję, przyczyniła się skutecznie do tego rozwoju. Szczere mówiąc wzbogacił mnie Pan intelektualnie! Rozszerzył Pan zakres moich wiadomości o Polskę, o jej wspaniałą kulturę. Obdarzył Pan szczerobliwie miłośnika tej kultury cennymi pozycjami, wartościowymi pismami, z różnorodnych dziedzin życia polskiego. Umożliwił mi Pan akcję rozpowszechniania polszczyzny i polskości wśród tutejszej Polonii, a wśród Francuzów, wiedzę o Kraju, który jest mi tak bliski i który kocham,

jak wypada na Francuza polskiego pochodzenia. Wzmocnił Pan we mnie przekonanie i wolę, że każdy z nas powinien zawsze pamiętać o starej Ojczyźnie i, jak brzmi apel do Polonii zagranicznej z roku 1961, „wspomagać w miarę swych sił i możliwości pracę nad rozwojem Polski, dbać o autorytet i dobre imię Polaków w świecie, aby wspólna nam była troska o wzmocnienie bezpieczeństwa Kraju i nienaruszalności jego granic, aby serca nasze były pełne dumy z przynależności do Narodu Polskiego, bijąc gorąco dla Ojczyzny, która trudem mięśni i mózgow ludu pracującego wiecła w życie piękną ogólnoludzką ideę sprawiedliwości społecznej...”

Życzę Panu szczęśliwego powrotu do Ojczyzny, pomysłowości w swej pracy dla Polski i gorąco jeszcze raz dziękuję za wszystko. Było dla mnie zaszczytem i przyjemnością oraz wielką satysfakcją mieć możliwość pewien czas z Panem współpracować jako polonijny działacz. Z poważaniem i sympatią. **J. Flaczyński**”.

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

SOMAIN: Christian Bielawski, Nadine Janowska, Fryderyk Hendrysiak, Fabienne Wodecka, Pierre Piotrowicz, Waleria Mroczkowska, Sylvia Krzyżaniak, Christelle Gulczyńska, Eric Chodorowski, Cathy Chodorowska, Denis Domagała, Sylvie Krupka, Nadine Sekula, Emmanuel Meyza. **LE CREUSOT:** Pascal Mar-

cinia. **MONTCEAU-les-MINES:** Mireille Najda, Hervé Hyla. **NOYELLES-sous-LENS:** Fryderyk Kupidura, Pascal Pęcnik. **LENS:** Weronika Kubisiak. **HAILLICOURT:** Waleria i Weronika Osfińska. **DOUAI:** Fryderyk Jagosz, Wincenty Lewandowski, Carole Zajac. **LIBERCOURT:** Claudine Marciniak, Patrick Gliwiński, Katarzyna Stolarska.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół małżeństwa ostatnio zawarli:

LIBERCOURT: Sylwiane Hanowicz i Bernard Sroczyński. **MARLES-les-MINES:** Stanisława Domagała i Daniel Daénes, Anne-Marie Kuśnierz i Bernard Wieczorek. **NOYELLES-sous-LENS:** Gilberte Watrelot i Teofil Kurzyński, Monika Tyborska i Henri Babol. **STIRING-WENDEL:** Sonia Pietruszewska i Robert Funrock. **NOEUX-les-MINES:** Liliane Portka i Roman Mady. **SIN-le-NOBLE:** Evelyne Pieszyska i Michel Gravier, Yvette Tadyszek i Ryszard Lambryczak, Liliane Ko-

biela i Etienne Lagache. **OIGNIES:** Janina Kaczmarek i Maurice Gerard, Jocelyne Martinache i Jean-Paul Kapelski, Jacqueline Bychińska i Edmund Słaski, Alina Olek i Henryk Skalecki. **Billy-Montigny:** Daniela Kozakiewicz i Jan Bartczak, Monika Marciniowska i Marcel Faubert, Vivianne Hollande i Władysław Kosydar, Francine Lignier i Daniel Staśkowiak, Liliane Frączkowiak i Bernard Mielczarek, Claudie Kurzawska i Joël Lekken, Anne-Marie Walewska i Yvon Marechal.

Nowożeńcom życzymy pomysłowości i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

NOEUX-les-MINES: Maria Wawrzyniak z domu Matyla, lat 52. **NOYELLES-sous-LENS:** Marian Głanowski, lat 42, Józef Stachowski, lat 68, Genowefa Kulik z domu Slimak, lat 69. **SIN-le-NOBLE:** Jan Grzesiak, Franciszka Bojańska. **LIBERCOURT:** Bronisława Kolen-

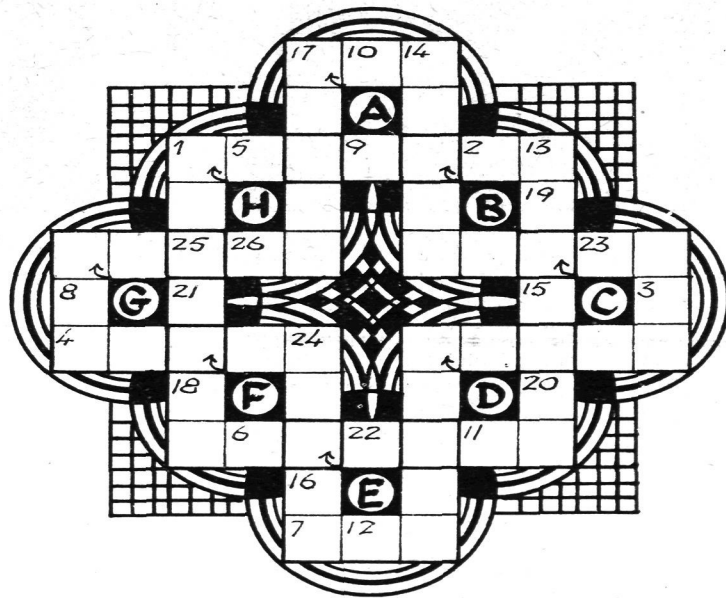
da z domu Sieciuk, lat 68. **DORIGNIES:** Władysław Skoneczka, lat 74. **DOURGES:** Stefan Lewandowski. **MONTCEAU-les-MINES:** Jan Matuszewski. **AVION:** Paweł Przybylski, lat 51. **ST. ETIENNE:** Ludwik Snela, lat 65. **METZ:** Rolanda Golczewska.

Rodzinom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Rozrywki umysłowe

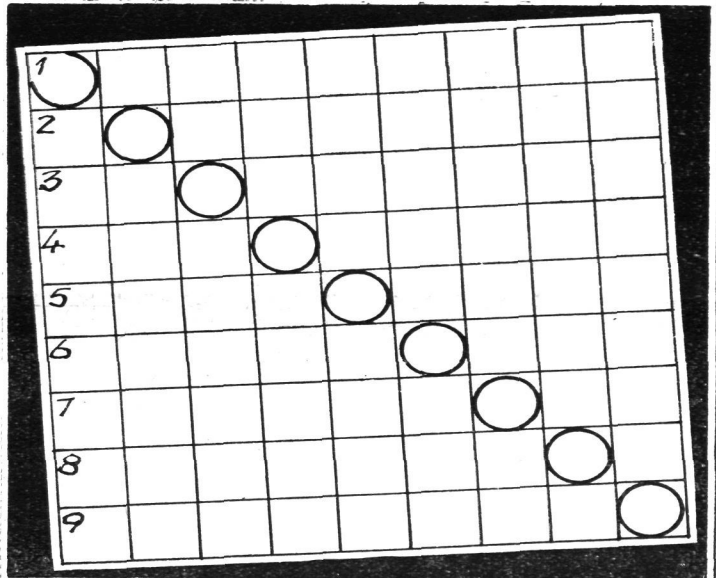
KOŁÓWKA Z HASŁEM

Prosimy odgadnąć 8 wyrazów 8-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je do odpowiednich krótkich rysunku dookoła liter w kółkach. Początek i kierunek wpisywania poszczególnych wyrazów wskazują strzałki. Litery wpisanych wyrazów, które się znajdują w polach oznaczonych liczbami, czytane w kolejności od 1 do 26 dadzą hasło zadania.



ZNACZENIE WYRAZÓW:
A) człowiek lubiący się śmiać albo wesołek, żartowniś, B) postępowanie sprzeczne z prawem, nieliczenie się z nikim i z niczym, C) oddanie strzału z broni palnej, D) klej z mąki i wody, E) rodzaj siła z dużymi otworami do przesiewania ziarna, F) uczucie nieprzyjemne względem kogoś, komu się lepiej powodzi, zażalenie, G) dzwonki przy uprzęży, zwłaszcza podczas jazdy saniami, H) rodzaj koldry składającej się z wyspy wypełnionej pierzem.

LOGOGRYF



Prosimy odgadnąć 9 wyrazów 9-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je poziomo do odpowiednich krótkich rysunku mając na uwadze, że wszystkie litery początkowe są jednakowe. Litery, które się znajdują w krótkich z kółkami, czytane po przekątnej z góry na dół dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
1) boża krówka z czerwonym grzbietem, czarno nakrapianym, 2) pieśń gondolierów weneckich, 3) autobus będący objazdową biblioteką, 4) rirciarz nadskakujący kobietom, bałamut, 5) opaska papierowa naklejana na towary monopolowe, 6) brednie, niedorzeczności, głupstwa, 7) podwójne garnki, 8) szlachetna odmiana gruszek, 9) kawałek drzewa na opał, polano, szczapa.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłały bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄZKOWE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

POZIOMO: 1) polisa, 4) skopek, 9) Kochanowski, 10) dykta, 12) masakra, 13) antyk, 14) arena, 19) okulary, 21) wykaz, 22) Sienkiewicz, 24) antena, 25) paczka.
PIONOWO: 1) posada, 2) lok, 3) suchary, 5) klops, 6) pasikonik, 7) klimat, 8) darmo, 11) konkurent, 15) równina, 16) boiska, 17) zydel, 18) szpara, 20) arkan, 23) zez.

ROZWIĄZANIE DOPEŁNIANKI

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) awanport, 2) fantasta, 3) bliawatek, 4) kubatura, 5) fontanna, 6) potrzask, 7) straszak, 8) tancerka.

ROZWIĄZANIE ROZETKI

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Praga, 2) ruina, 3) niebo, 4) obawa, 5) witka, 6) tasak, 7) stora, 8) robot, 9) salto, 10) Polak, 11) galop, 12) blaga, 13) sabat, 14) bobas, 15) żabot, 16) bagaż.

ROZWIĄZANIE PRZEKŁADANKI TAFELKOWEJ

ZŁAPAŁ KOZAK TATARZYNA. A TATARZYN ZA LEB TRZYMA. (Nazwy miast: WARSZAWA, OŚWIĘCIM, ZAKOPANE, SZCZECIN, KATOWICE).

RADIOODBIORNIKI - TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-ie 16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.42, 73.29.47

ROUBAIX (Nord)

Czy jest styl polskich mebli?

PARE LAT TEMU w antykwariacie „Desa” na Nowym Świecie pokazał się sekretarz bogato intarsjowany, roboty kolbuszowskiej. Kosztował sporo, bo — jak pamiętam — 40.000 złotych. Po dwóch czy trzech dniach zniknął bez śladu: zakupiła go któraś z ambasad.

Czy istnieją meble „polskie”? Czy był styl polski, jak Anglicy mieli Sheratona, Hepplewhite’a, Chippendale’a, jak Francuzi chętnie się empiem, dyrektoriatem, Ludwikiem Filipem, Boule’em, Jacobem, jak Rosjanie dumni są z Bażenowa, Starowa i Kazakowa?

Wszystkie te atoli grupy, szkoły, firmy bije na głowę Kolbuszowa. Jeżeli już jest mowa o polskich meblach, to ma się na myśli przede wszystkim — Kolbuszowa. Mówi się więc po dziś dzień: „roboty kolbuszowskie”. Cóż więc to jest ta Kolbuszowa i skąd jej sława?

Miasteczko Kolbuszowa leży nad niewielką rzeczką Nilem, 25 km na północny zachód od Rzeszowa. Niedawno odkryto tu szacowne zabytki archeologiczne kultury lużyckiej, jakieś spatynowane garnki, monety, zapinki. Relikty z tej samej więc epoki co sławny Biskupin. Osada zatem wiekowa, z tradycjami, można by rzec — muzealna. I oto, nie wiedzieć skąd, tu właśnie narodzili się artyści z bożej łaski, obdarzeni niezrównanym smakiem i artystycznym talentem, co na Kraj cały zasłynęli. Niezawodnie artystem swoim parali się dawniej, ale tak jak to powszechnie się działo, ci rzemieślnicy-artyści przeważnie pracowali anonimowo, czasem imienia tylko używając, jak ów mistrz Marcin Czarny, artysta bliższy jeszcze warsztatowi Wita Stwosza (koniec XV i pocz. XVI w.), albo jak mistrz Franciszek z Sieradza z XV wieku czy też mistrz Jan Polak, co sławę sztuki krakowskiej aż do dalekiej zaniósł Bawarii.

Zródła pisemne wymieniają robotę kolbuszowską dopiero w w. XVII. Dopiero atoli z wydoskonaleniem techniki formowania mebli Kolbuszowa osiągnęła szczyt doskonałości i popularności. Osobną monografię tym polskim meblom poświęcił prof. Stefan Siemicki w książce „Meble kolbuszowskie”, wydanej w r. 1936.

Mają swój osobny styl i charakter. Meble kolbuszowskie wykonywali przecież rzemieślnicy pochodzący z ludu, stąd też — w odróżnieniu od paryskich czy wiedeńskich — motywy tu stosowane wzięte są z naszych ludowych łań, skrzyń i zydlu.

Fornirowano je najczęściej orzechem, rzadziej dębem i jesionem. Wkrótce zaczęto stosować intarsję (od włoskiego intarsio), tj. technikę dekoracyjną polegającą na zdobieniu sprzętów drewnianych wzorami z różnych gatunków drewna. Najczęstsze motywy tutaj to wstęgi, kwiaty, herby. Fornir na meble kolbuszowskie był cienutki, najwyżej 2 do 3 mm

grubości. Do intarsji używano w Kolbuszowej głównie śliwinę z dwustronną żyłką jaworową. Często stosowano także wstęgi z orzecha, cisu, a żyłki z czarnego dębu.

Nierzadko także stosowano wypalanie kawałków drewna na brzegach, co dawało wrażenie wklęsłości bądź też wypukłości. Polerowano meble kolbuszowskie przez napuszczanie woskiem. Metalu używano skąpo, nie tak jak na Zachodzie np. u Boule’a. Tylnie tylko dodawano metalu, ile trzeba było na okucia i uchwyty. Szkatułki ozdobne już oficjalnie okuwano metalem, ale zupełny tu brak głównego składnika meblarstwa francuskiego: brązu.

Pracowali artyści kolbuszowscy na zamówienie. Warto się przyjrzeć np. posadzkom w zamku łańcuckim, jakich nie znajdzie się nigdzie indziej. Robotę zaczynało od motywu gwiazdy lub kółka, skąd gwiazdźście rozprzodzano niesłychanie bogatą intarsję.

Na specjalne także zamówienie wykonali artyści kolbuszowscy piękny kredens dla rezydencji wojewody sandomierskiego, Jana Wielopolskiego. Kredens ten, będący wyjątkowym okazem sztuki stolarskiej na skalę europejską, jak pisze Siemicki, najlepszy znawca tych kunstownych dzieł polskiej sztuki, oglądać dziś można w Muzeum Narodowym w Warszawie. Dzieło sztuki to formirowane jest jesionem z intarsjami z drzew owocowych, bez użycia wszelako obcych fornirów.

Meble kolbuszowskie wszędzie budziły podziw. Były odpowiednie dla każdego wnętrza. Nadawały się do najbardziej wykwintnych siedzib.

O wysokim stopniu doskonałości tego naszego rzemiosła artystycznego świadczą po dziś dzień powiedzonka i przysłowia, co chwałę przynoszą Kolbuszowej, jako to:

„Zgrał się jak kolbuszowskie skrzypce”

albo:
„Sprawa czysta jak kolbuszowska”.

Czysta i chwalebna.

Eugeniusz SZERMETOWSKI

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chauvreur-Lodelinsart

Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique
Cena prenumeraty:

rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.
kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

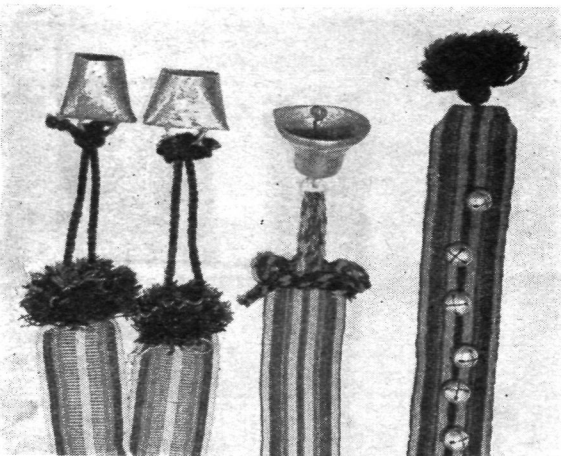
IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 1



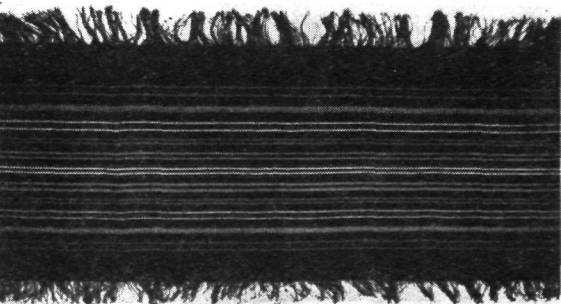
Spółdzielnia Pracy Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Świdrach Wielkich produkuje co roku m.in. 1000 regionalnych kilimów i 2000 poduszek, 15 tys. m krajki modnej ostatnio do obszywania sukienek, kostiumów czy kożuszków oraz kilkadziesiąt tysięcy metrów tkanin obciowych, zasłonowych i firankowych. We wszystkich tkaninach przejawiają się motywy regionu Mazowsza — Ziemi Kołbielskiej



KOŁBIELSKIE KRAJKI I PASIAKI



Takimi krajkami przewiązywano niegdyś owce, barany czy krowy pasące się na łąkach Ziemi Kołbielskiej. Hodowla owiec stworzyła tu podstawy dla rozwoju sztuki tkackiej. Dziś krajki z miedzianymi dzwoneczkami lub też złotymi guziczkami stanowią przepiękny element dekoracyjny



Bieżniki wychodzące spod rąk kołbielskich i karczewskich tkaczy otrzymać można w krajowych i zagranicznych placówkach CEPELII. Są pięknym elementem dekoracyjnym, świetnie i oryginalnie zestawionym w kolorach. Najczęstszym zestawem jest zielone lub czerwone tło oraz czerń i subtelnie zaznaczona biel. Piękna ozdoba mieszkania

*Kołbieli, Kołbieli, ty moja wiosieczko,
Gdyby nie te doły, byłoby miasteczko.
Gdyby nie te doły i nie ta murawa,
Byłaby, ach była z Kołbieli Warszawa.*

JAK WIDAC z tej ludowej piosenki, Kołbiel to wieś, ale tak znaczna, że cały jej sąsiedni region nazywany jest Ziemią Kołbielską. Leży w pobliżu Warszawy (ok. 40 km), słynie z tego, że w okolicznych wsiach: Celestynów, Skorupy, Regut, Karpiska, Sepochów, Gadka, Nowa Wieś, Bocian, Rudno, Rudzienko, Władzin, Podgórzno, Kościny i Głupianka zachowało się jeszcze wiele z dawnej kultury ludowej w strojach, zwyczajach, pieśni i tańcach. Właściwie do niedawna był to region szerzej nieznan — zwłaszcza jeżeli chodzi o wzorzyste stroje. Uważano, że można je znaleźć tylko na Podhalu, w Beskidzie Śląskim, w Krakowskim i koło Łowicza. Tymczasem w rejonie kołbielskim spotyka się je również, są pielęgnowane od stuleci i wytwarzane z materiałów robionych na miejscu domowym sposobem. Słumione w kolorystyce tutejsze zapaski i narzuty, krajki i pasiaki tkają kołbielanie bądź to na krosnach ręcznych, bądź mechanicznych. Te ostatnie wprowadzono w Świdrach Wielkich w filii Spółdzielni Pracy Przemysłu Ludowego i Artystycznego z Otwocka. Jej pracownicy, kołbielanie z krwi i kości — od 20 lat wyszukują uroczę motywy ludowe swego regionu i na ich podstawie komponują przepyszne tkaniny i krajki, poduszki i narzuty zwane dziś tkaninami dekoracyjnymi albo użytkowymi.

Wspomniana spółdzielnia zatrudnia przy krosnach ręcznych i mechanicznych około 150 pracow-

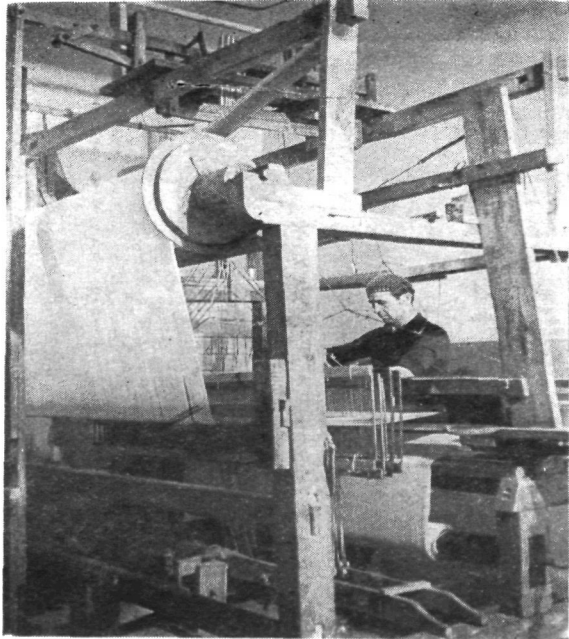
ników. Jedni tkają w Spółdzielni, inni — zwani chałupnikami — biorą z niej gotową osnowę i przedźną na watek do swych domów. Od ich własnej inwencji i artystycznych pomysłów zależy przeniesienie na tkaniny motywów regionalnych istniejących na narzutach lub spodnicach po prababciach. Niekiedy wiernie odtwarzają szereg bardzo starych wzorów tylko z pamięci. Nowo powstające tkaniny nazywa się dziś adaptacjami.

Wiele z nich wykonała m.in. p. Zofia Skolimowska, mieszkanka Kołbieli znająca o niej wiele legend, gawędząca chętnie o tradycjach regionu i o tym, „jak to drzewie było”. Adaptacje artystyczne tworzy też w Spółdzielni p. Maria Chojnacka-Gontarska — absolwentka Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przez kilka lat zbierała ona materiały dokumentalne do pracy podyplomowej, wydanej obecnie w książce p.t. „Tkactwo i tkaniny regionu kołbielskiego”. Dzięki temu odkryto i szerzej poznano region kołbielski.

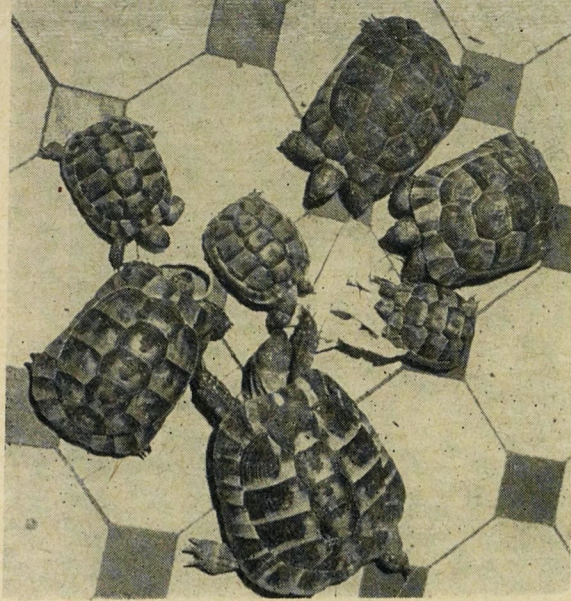
Wiele tkanin kołbielskich uzyskało i uzyskuje nagrody na różnych pokazach krajowych. Charakteryzują się one drobnym prążkowaniem i bogatą, zharmonizowaną gamą barw, z przewagą czerwieni, którą ożywiają drobne paseczki zielone, fioletowe i żółte. Najstarsze wzory — do dziś spotykane w zagrodach wiejskich Ziemi Kołbielskiej — to wzory czarne z wąskimi prążkami bieli. Bywają też tkaniny z szerokimi pasami zielonymi, przedzielonymi prążkami żółtymi, bordo, fioletowymi i pomarańczowymi. Przypominamy zestawy kolorów m.in. dlatego, że dekorowały one krajki, którymi obszyte były tak bardzo podobające się na ostatniej Olimpiadzie w Grenoble polskie kożuszki, reprodukowane w wielu ilustrowanych magazynach.

Krystyna KOZŁOWSKA

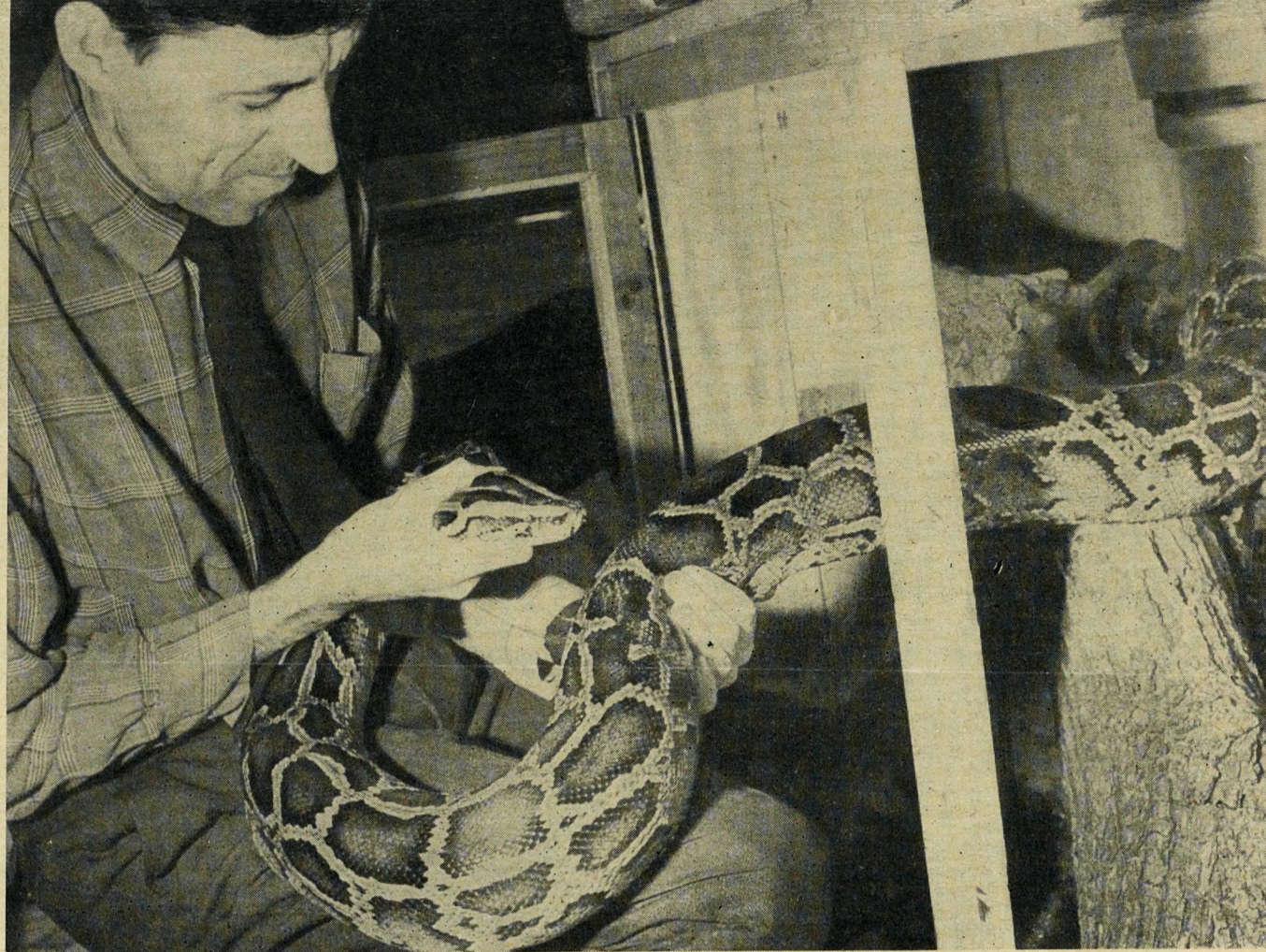
Te ciężkie krosna pamiętają czasy... Powstania Listopadowego. Mają więc prawie 140 lat i swoją bogatą historię. Masywne a proste, ciężkie a sprawne znajdowały się przed wojną w Łodzi, skąd zakupione zostały przez Polonię amerykańską do muzeum. Nie zdążyły jednak opuścić gdańskiego portu przed wrześniem 1939 r. i po wielu latach tułaczki znalazły się w spółdzielni otwockiej. Są one niezastąpione zwłaszcza przy tkaniu z grubej owczej wełny, lnu i słomy. Narzuta czesankowa oraz bieznik kołbielski, zwany w innych regionach Polski pasiakiem, ujmują oryginalnością barwy i motywem



AUNE quarantaine de kilomètres de Varsovie est située une région appelée Terre de Kołbiel qui est connue de tous les amateurs d'art populaire et de folklore tant de Pologne que de l'étranger. Kołbiel n'est en fait qu'un village, mais il rayonne sur toutes les localités des environs. La Terre de Kołbiel englobe donc les villages de Celestynów, Skorupy, Regut, Karpiska, Gadka etc. La popularité de cette région résulte en premier lieu du talent artistique de ses habitants qui se consacrent au tissage artistique. Comme on peut s'en rendre compte à partir de nos photos, les résultats de cette activité ne rendent aucun point aux chefs-d'oeuvre du Podhale ou du Beskide Śląski. Et puisque nous employons un langage sportif, rappelons à nos lecteurs que les blousons de mouton de l'équipe polonaise aux Jeux Olympiques de Grenoble étaient décorés de broderies dessinées et réalisées par les artistes populaires de la Terre de Kołbiel.



LE docteur Ryszard Bielawski a un violon d'Ingres très particulier — il collectionne en effet les reptiles les plus divers tels que serpents, lézards, caméléons etc. Sa collection s'est augmentée dernièrement d'un sympathique python asiatique prénommé „Cipus”. Pour le moment „Cipus” n'occupe que relativement peu de place, mais étant donné que le python est le plus grand des serpents connus, il mesurera d'ici quelques années près de huit mètres de long. La collection du docteur Bielawski n'est pas uniquement un passe-temps, en tant que chercheur à l'Institut de Zoologie de l'Académie Polonaise des Sciences, notre collectionneur procède à d'intéressantes recherches qui peut-être enrichiront nos connaissances dans ce domaine très terre à terre...



PRYWATNY PYTON

ZWIE SIĘ „CIPUS”, i gdy dwa lata temu w małym neseserku odbył napowietrzną podróż z Azji do Warszawy, miał zaledwie metr długości i niecałe dwa kilogramy wagi. Dzisiaj już podrośnięty nieco i mierzy trzy i pół metra, a niedawno przekroczył wagę 20 kg. Znaczący przedmiot twierdzą, że za następne trzy lata mogą być trudności z metrażem dla azjatyckiego gościa w Warszawie, gdyż „Cipus” przekroczy 8 m długości, a wagą nie będzie ustępował dorosłemu człowiekowi.

„Cipus” jest azjatyckim pytonem i stanowi ozdobę prywatnego herpetarium doktora Ryszarda Bielawskiego z Instytutu Zoologicznego Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Jest już znany w Polsce, był nawet gwiazdorem telewizyjnym, ale tylko pośrednio, bo strach całego zespołu kamerzystów w studio, którzy oświad-

czyli, że albo pyton albo oni, bo im kamery porozwala i w ogóle narozrabia jak „pijany zając”, spowodował, że doktora Bielawskiego pokazywano w telewizji „żywcem”, „Cipusia” wyłącznie zaś na fotograficznych zdjęciach. A „Cipus” jest naprawdę spokojny. Spi, dużo je, pewno, że jakby się zdenerwował, to i krowę udusi, ale jak dotąd — do nerwów nie było powodów.

W herpetarium dr Bielawskiego obok pytona można poznać inne przeróżne dziwy i maskary, kameleony, małe jaszczurki „Calotes” z południowego Wietnamu, wielkie 30-cm żaby z azjatyckich dżungli, żółwie wszelkiej maści i rozmiarów. Wszystko to żyje w zgodzie ze sobą, a w największej ze swym panem i nieraz zdarza się, że dr Bielawski opasany pytonem i z jaszczurką na głowie prowadzi swoje naukowe rozważania. (Cecha)

